CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK III. WARSZAWA, 28 Sierpnia 1938 R. NR. 33-34

Tadeusz Katelbach

Jedno z zagadnień głównych

Wojna zmieniła kartę polityczną Europy. Wskutek załamania się trzech przedwojennych potęg imperialistycznych: Rosji, Niemiec i Austro - Węgier powstało szereg państw, lub też państwa istniejące rozszerzyły swe granice. Na 500 milionów mieszkańców współczesnej Europy, około 100 milionów, a więc piąta ich część, znalazła się w granicach tych właśnie nowokreowanych lub zwiększonych po wojnie organizmów państwowych.

Powstanie po wojnie nowych państw było triumfem „zasady narodowej", zrodzonej w 19-tym wieku. Heroldem jej w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie stał się Wilson. Każdy naród, zdolny do „samostanowienia", miał otrzymać własne państwo.

Jednak, wykreślając nową kartę Europy, twórcy jej nie byli w stanie dokonać podziału idealnego, to zn. takiego, aby w tak zw. „nowych państwach" znalazły się wyłącznie jedne narodowości, czy też nawet, aby narodowość przeważająca w państwie znalazła się w zdecydowanej przewadze na wszystkich, w skład jego wchodzących, terytoriach. Wiekowe skomplikowane procesy złożyły się na to, że na obszarach starego kontynentu dokonywało się ustawicznie przenikanie różnych ras i narodowości, wytwarzając, zwłaszcza w środku i na wschodzie Europy, dość powikłaną mieszaninę narodowościową. Stąd też w granicach odrodzonej Polski, Łotwy, Czechosłowacji, Litwy, czy też rozszerzonej terytorialnie Rumunii lub Jugosławii, znalazły się w znacznym często odsetku odłamy innych narodów, które w traktatach pokojowych uzyskały miano „mniejszości narodowych".

Czyniąc dziejowy krok na drodze ku realizacji „zasady narodowej", twórcy nowego porządku rzeczy chcieli, aby w nowokreowanych organizmach państwowych były zabezpieczone prawa narodowo - kulturalne wszystkich narodowości, które w nich się w znaczniejszej liczbie znalazły. Nie chciano, aby nowe państwa, powstałe na gruzach przedwojennych imperializmów, stosujących zasadę ucisku narodowego, wstąpiły na drogę wczorajszych ciemiężców. Z tych przesłanek — bynajmniej zresztą nie jedynych — zrodziły się słynne traktaty o ochronie mniejszości narodowych, które zostały narzucone nowym tworom państwowym i które — jako sui generis „kapitulacje" — miały nad nimi zaciążyć na lata.

Twórcy traktatów mniejszościowych nie chcieli z nich tworzyć takich „kapitulacji". Przeciwnie, traktaty ujmowali raczej jako przejściowy środek zapobiegawczy przed zbyt brutalnymi metodami wynaradawiania, które nowe państwa mogły zapożyczyć od wczorajszych ciemiężców. Wierzyli, że traktaty stworzą ramy, w których odbywać się będzie powolny proces asymilacji tych narodowości z państwem, a więc asymilacji państwowej, z czasem nawet asymilacji narodowo - państwowej.

O nadanie traktatom znaczenia trwałych „kapitulacji" zaczęła jednak w następstwie walczyć na terenie Ligi Narodów Rzesza Niemiecka, która chciała przez nie roztoczyć stałą opiekę nad położeniem mniejszości niemieckich powstałych po wojnie. O ten trwały charakter walczyła stale, dążąc do rozwoju procedury mniejszościowej oraz organizując, początkowo również w Genewie, tak zw. kongresy europejskich mniejszości narodowych, które miały być rodzajem międzynarodowego parawanu, z poza którego Rzesza mogłaby wygodnie realizować własne polityczno - mniejszościowe cele. Przeciwnicy „dyktanda Wersalu" stali się zażartymi obrońcami jednej z jego części. Na tej podstawie wytaczali w Genewie jeden proces po drugim państwom obciążonym traktatami, przede wszystkim Polsce. Mimo że częste dyskusje mniejszościowe na forum genewskim, prowokowane przez Niemców, uwydatniły „przejściowy" charakter traktatów, Niemcy uparcie dążyli do swego. Opierając się na tych traktatach, chcieli narzucić państwom, posiadającym mniejszości niemieckie, jakiś ogólno-europejski schemat pod nazwą „kulturalnej autonomii". Schemat ten zaczęto nawet realizować w Estonii i Łotwie. Realizacja tego schematu doprowadziłaby oczywiście do tworzenia w poszczególnych państwach zamkniętych, odrębnych organizmów narodowo - kulturalnych, przeważnie uzależnionych bezpośrednio od wskazań Berlina. Przyjęcie niemieckiego rozwiązania doprowadziłoby do trwałej ingerencji w sprawy wewnętrzne „nowych państw" nie tylko Ligi Narodów, jako międzynarodowej gwarantki traktatów mniejszościowych, lecz przede wszystkim państw bezpośrednio zainteresowanych w sprawach poszczególnych mniejszości, ze swej strony nieobciążonych żadnymi zobowiązaniami wzajemnymi. Sprawy opieki mniejszościowej stawały się w rezultacie jak gdyby funkcją ogólnej polityki państwowej niektórych państw, narzędziem nacisku i oddziaływania na państwa inne. Nie trzeba dodawać, że narzędzie to było używane w sposób wysoce dowolny i nie mający nic wspólnego z jakimikolwiek zasadami obiektywizmu, czy też „międzynarodowej sprawiedliwości". Tak więc w tym samym okresie, w którym trwała najgorętsza ofensywa mniejszościowa Niemiec przeciwko Polsce, Niemcy, sprzy-

mierzone wówczas z Sowietami, „zapominały" zupełnie o zagadnieniu mniejszościowym w tym państwie, mimo że przeszło milion Niemców cierpiało w Sowietach głód, nędzę i ucisk narodowościowy. Nie zapominały natomiast o losie mniejszości niemieckiej w faszystowskich Włoszech, co doprowadzało nawet do poważnych starć i nieporozumień między włoskimi i niemieckimi mężami stanu.

Pozycja republikańskich, wejmarskich, Niemiec była w tej walce bardzo silna. Dzięki różnego rodzaju wpływom międzynarodowym Niemcy Stresemanna oddziaływały silnie na nastroje w dwóch wielkich demokracjach: we Francji i Anglii. W walce z Polską o sprawy mniejszościowe, zwłaszcza po 1926 roku, Niemcy wyzyskiwały jeszcze bardziej swój „demokratyzm", przeciwstawiając go rzekomo „faszystowskiemu" reżimowi Polski Marszałka Piłsudskiego. Punktem szczytowym mobilizacji nastrojów antypolskich przez Niemcy na terenie międzynarodowym była pamiętna sesja genewska Ligi Narodów po Brześciu.

Rok 1933 stanowi punkt zwrotny w układzie powojennych stosunków politycznych w Europie. Zwycięstwo Hitlera, kompletna przebudowa ustroju Rzeszy niemieckiej, wycofanie się Niemiec z Ligi Narodów musiały wpłynąć decydująco na dalszy rozwój spraw narodowościowych w Europie.

Do kategorii mocarstw o ustrojach zdecydowanie totalnych — Rosji, Włoch — przybyły Niemcy, państwo o 65 milionach mieszkańców, a więc co do ilości mieszkańców w Europie drugie po Sowietach. W ten sposób na 500 milionów mieszkańców Europy blisko połowa znalazła się pod panowaniem systemów totalnych. Za przykładem wielkich państw totalistycznych poszły, wcześniej czy później, nawet tak małe państwa jak Łotwa i Litwa.

Państwo totalne z reguły opiera się na panującej w nim partii. Partia, *jedna* partia, staje się w państwie totalnym państwem. Państwo jest partią. Nikt po za nią nie ma nic do powiedzenia. Cała demokratyczna arytmetyka traci wszelki sens istnienia. Nie ma większości i mniejszości. Jest tylko partia — państwo. W ramach skonstruowanego organizmu sprawy odrębnych narodowości rozwiązywane są w myśl założeń, jakie odpowiadają rządzącej partii i jej poglądom na państwo. Jeśli — jak w Sowietach — partia ta uważa za pożyteczne, ze względu na międzynarodowe plany komunizmu, podsycanie do czasu odrębności jezykowo - narodowych — czyni tak, oczywiście, dopóty, póki wydaje się to pożyteczne dla celów demonstracji różnojęzycznej rodziny komunistycznej, posłusznej rozkazom dominującej w tej rodzinie rosyjskiej partii komunistycznej. Jeśli zaś — jak we Włoszech czy w małej Łotwie, partia chce wynarodowić resztę odrębnych narodowości, stosuje również środki, zmierzające w jej przekonaniu najskuteczniej do tego celu. Dzisiaj można już postawić tezę, że niewyłączając Rosji, traktującej w sposób zupełnie specyficzny „sprawy narodowościowe", wszystkie państwa totalne hołdują hasłom szowinizmu i nacjonalizmu, stawiającym za cel wynarodowienie wszystkich mniejszości, z wyjątkiem chyba żydowskiej, której nie chcą asymilować, chcą się jej poprostu pozbyć. Nawet Włochy, posiadające znikomy procent Żydów, zdają się wchodzić na tę drogę za przykładem Niemiec.

Ustawodawstwo państw totalnych oraz ich ustrój przystosowane są do tych haseł nacjonalistycznych. Życie odrębnych narodowości w takich państwach staje się nieznośne. Żyć musi w nich świadomość, że zawisł nad nimi miecz, który, jeśli nie dziś, to za lat dziesięć, lub dwadzieścia, zadać im może cios ostateczny.

Weźmy przykład małej Litwy. Dziś już Polacy mają tam zamknięty dostęp do adwokatury i medycyny. Jutro — może się zamknąć dostęp do innych zawodów. Mało tego. Jednym zarządzeniem odbiera się np. prawa praktyki adwokackiej ludziom pracującym w swym zawodzie od dziesiątków lat! Rolnik - Polak jest również uciskany. A los robotnika? Powiedzmy, że pracuje w jednej z zetatyzowanych kooperatyw. Jest wyraźnym Polakiem. Poczynając od dyrektora, a kończąc na robotniku — Litwinie wszyscy patrzą nań niechętnym okiem. Tolerują go, bo w Litwie na razie nie ma bezrobocia. Lecz jeśli jutro zacznie się ono — wyrzucą Polaka bez pardonu. To ojciec. A dzieci? Chodzą do litewskiej szkoły początkowej, bo innej nie ma. Nauczycielka drwi sobie z ich „słowiańskiego" akcentu; rówieśnicy wytykają ich jako „Polaków". Oto obraz stanu, jaki panował doniedawna zupełnie powszechnie. Czy stan ten obecnie się zmieni? Przewidywanie tymczasem przedwczesne.

Obraz ten nie dotyczy jednego państwa i jednej mniejszości. Przeciwnie, w mniejszym lub większym stopniu staje się on coraz bardziej schematem, ilustrującym ogólną sytuację mniejszości narodowych w poszczególnych państwach. Nawet państwa zespolone w jednym wspólnym zespole politycznym, jak np. Łotysze i Litwini, występujący pod nazwą „ententy bałtyckiej", nie chcą się bawić w tolerantyzm w stosunku do swych mniejszości. W trzecim roku istnienia tej „ententy", w kwietniu 1937 r., rząd łotewski wypowiedział Kownu konwencję szkolną, zawartą w 1931 roku. Powodem wypowiedzenia było, że konwencja ta daje dużo Litwinom w Łotwie, zbyt mało Łotyszom w Litwie. W gruncie rzeczy chodzi o to, że rząd łotewski, jako rząd państwa totalnego, nie chce dopuścić w ramach swego państwa do najmniejszego przyrostu uprawnień narodowościowych żadnej narodowości, nawet tak małej jak litewska, choćby państwem macierzystym tej mniejszości był sąsiad, zasiadający wspólnie z Łotwą w „ententcie bałtyckiej". Przykład ten potwierdza prawdę, że w odniesieniu do zagadnień narodowościowych zwyciężyła dziś zasada „do ut des" zastosowana jak najbardziej rygorystycznie. Zasada ta głosi: „Każdy środek, zmierzający do wynarodowienia odrębnej narodowości w państwie (z wyjątkiem żydowskiej), uświęcony jest przez cel główny — przekształcenia państwa na państwo narodowe, to zn. takie państwo, w którym, mimo nawet istnienia w nim odrębnych mniejszości, jedynym pełnoprawnym, we właściwym tego słowa znaczeniu, wyłącznym gospodarzem byłby naród dominujący".

Tak postępują małe państwa totalne, same stale zatroskane o byt niepodległy, śpieszące się, aby jaknajszybciej umocnić swą narodową pozycję. Większe państwa — jak Niemcy — nie potrzebują się w tym stopniu spieszyć. Tu nie odgrywa już takiej roli fakt, czy ostatni Polacy zostaną zgermanizowani pięć lat później czy wcześniej. Tu chce się ich wynarodowić metodą inną — „wychowawczą". Od małego dziecka, kilkoletni chłopak, chce czy nie chce, musi maszerować w niemieckich kolumnach swych rówieśników, musi razem śpiewać, musi nasiąkać duchem niemieckiego hitleryzmu.

Partia wszechpotężnie rządząca nie uznaje krytyki i opozycji wewnętrznej, nie dopuszcza tym bardziej żadnej ingerencji, choćby opiniodawczo-moralnej, w swe plany wewnętrzne ze strony czynników międzynarodowych. Do spraw, którymi nikomu obcemu nie wolno się interesować, zalicza zagadnienie mniejszości narodowych w swym państwie. Pozornie państwa totalne są konsekwentne, głosząc poszanowanie dla analogicznych zasad, którymi rządzą się inne państwa. Ale tylko pozornie. Trzecia Rzesza każe swym mniejszościom, znajdującym się w państwach z nią zaprzyjaźnionych, czy też podobnie jak ona totalnych, aby były tam zewnętrznie lojalne. Jednakże lojalność ta nie jest zbyt głęboka i bez zastrzeżeń. Nie wysuwa się wprawdzie hasła „autonomii kulturalnej", za to chce być dla swych mniejszości ideowym przykładem, chce się własną ideą, własnym światopoglądem, przepoić niezliczone rzesze Niemców, zamieszkujących inne państwa, czyniąc z nich nastrojony na obraz i podobieństwo swoje instrument działań politycznych. Instrument ten ma grać lojalnie do chwili, gdy Berlinowi to jest potrzebne. Gdy sytuacja się zmieni — instrument lojalny może zamienić się na instrument irredenty niemieckiej.

Wpływ współczesnego ducha państwa totalnego na kształtowanie się poglądów w sprawach narodowych poczynił postępy i czyni je nadal nawet w państwach o ustrojach „demoliberalnych". Wystarczy tu tylko przykład demokratycznej Czechosłowacji. Do niedawna, a w dużej mierze i dziś jeszcze, wszystko działało tu lub działa na wyniszczenie odrębnych narodowości. System — mimo pozorów odmiennych — w gruncie rzeczy jest ten sam. Dyrektor fabryki, urząd skarbowy, władza administracyjna lub policyjna, sąd, kroczą wspólną drogą. Wokół szyi Polaka na Śląsku za Olzą do dziś zaciska się coraz bardziej pętlica, która ma go zdusić. Wyrok taki zapadł i ma być konsekwentnie wykonany, choć

możliwie spokojnie, z zachowaniem demokratycznej zasady.

Tak więc w latach 1933—1937 w sprawach narodowościowych zwyciężyły założenia totalistyczne, zarówno w państwach o ustrojach totalnych, jak i demokratycznych. Nad odrębnymi narodowościami, zamieszkującymi państwa środka i wschodu Europy, zapadł wyrok likwidacji i ostatecznego wyniszczenia. Wyrok ten zapadł również nad Polakami, zamieszkującymi państwa sąsiadujące z Polską, w tym samym stopniu nad Polakami z Litwy, Łotwy, Niemiec, co z Czechosłowacji. Z tej twardej rzeczywistości należy sobie co rychlej zdać sprawę i wyciągnąć z niej właściwe wnioski.

Pierwszy wniosek Polska już wyciągnęła, wypowiadając przez usta ministra Becka traktaty mniejszościowe. Zrzuciliśmy z siebie „kapitulacje", upakarzające naszą dumę narodowo - państwową, ograniczające naszą pełną suwerenność, co więcej dające obcym, przede wszystkim sąsiadom, możność rzekomo uprawnionej ingerencji w nasze sprawy wewnętrzne. Wyciągnęła Polska i drugi wniosek, oświadczając genewskiemu forum, że ma u siebie zagadnienie mniejszościowe, które chciałaby rozstrzygnąć w sposób humanitarny, licząc na zrozumienie doniosłości tego zagadnienia w skali międzynarodowej przez wszystkich członków genewskiego zgromadzenia. Stwierdziła, że ma palące zagadnienie żydowskie i że rozwiązanie jego widzi w zorganizowanej akcji emigracyjnej rzesz żydowskich z Polski. Ale oba te fakty — choć ważne — nie posunęły jeszcze naprzód sprawy programowego stosunku naszego do zagadnień narodowościowych w samej Polsce.

Punktem wyjścia w poszukiwaniu takiego programowego stosunku może być między innymi analiza odpowiednich postanowień naszej Ustawy Konstytucyjnej.

Konstytucja z 1935 roku głosi:

1) „państwo polskie jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli";

2) „państwo zapewnia obywatelom możność rozwoju ich wartości osobistych oraz wolność sumienia, słowa, zrzeszeń";

3) „według wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne";

4) „ani pochodzenie, ani wyznanie, ani płeć, ani narodowość nie mogą być powodem ograniczania tych uprawnień".

Przytoczone artykuły konstytucji, tworzone w okresie zwycięstwa zasad totalnych w odniesieniu do zagadnień narodowościowych u innych sąsiadów, wskazują wyraźnie, że zasady te nie oddziałały na ustawodawcę polskiego. Państwo polskie — w myśl konstytucji — zostało wspólnym dobrem „wszystkich obywateli", niezależnie od tego, czy są Polakami, czy należą do innych narodowości. Każdy obywatel, Żyd, Ukrainiec, czy Niemiec, posiadają w Polsce tytuł zasadniczy do „wpływania na sprawy publiczne", bowiem ani pochodzenie, ani wyznanie, ani narodowość nie mogą stanowić powodu do ograniczenia tego tytułu! Równocześnie jednak miernikiem uprawnień do oddziaływania na sprawy publiczne jest miara „zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego".

Postanowienie to nakłada na wszystkich obywateli Państwa poważne obowiązki. Nie może ono jednak pozostawać martwą literą. Twórcy konstytucji, powodowani niezawodnie najszlachetniejszymi pobudkami, stworzyli w dobie szalejącego wokół nas nowoczesnego absolutyzmu — stan prawny, gwarantujący narodowościom zamieszkującym nasze państwo nie tylko pełnię ich rozwoju kulturalno - narodowego, lecz nawet wpływ na bieg spraw publicznych. Lecz takie ujęcie zagadnienia narodowościowego w konstytucji nie może wystarczyć, może być tylko punktem wyjścia dla wypracowania realnego programu w poszczególnych sprawach narodowościowych. Program ten — powiedzmy szczerze — dotychczas nie istniał i nie istnieje. Linia naszych poczynań w odniesieniu do każdego z zagadnień narodowościowych, których posiadamy, niestety, pokaźną ilość, jest linią nerwowych, bezplanowych zygzaków.

W epoce koncentrycznego ataku niemieckiego na nasze granice zdobyliśmy się — może nawet z dobrym skutkiem — na plan defenzywny, który określał wyraźną linię postępowania w stosunku do mniejszości niemieckiej w Polsce. Plan ten załamał się z chwilą, gdy rozpoczęła się era niekwestionowanego zresztą przez nikogo w Polsce w swej zasadniczej celowości bilateralnego porozumienia polsko - niemieckiego. Niemcy hitlerowskie wytworzyły szybko przystosowaną nie tyle do porozumienia, ile do zasadniczych celów germanizacyjnych, metodę traktowania ludności polskiej. Praktyczny cel pozostał ten sam co dawniej. Niemcy hitlerowskie — powiedzmy to sobie otwarcie — dążą do wynarodowienia Polaków w Rzeszy, tak samo, jak dążyła do tego celu republika wejmarska. Myśmy zaś opuścili w tym samym czasie nieźle zbudowane pozycje obronne i od szeregu lat namyślamy się czy do nich wrócić. Tymczasem żywioł niemiecki w Polsce, ulegający dynamicznym hasłom, płynącym z Trzeciej Rzeszy, zaczyna przybierać postawę, jakiej już dawno nie przybierał.

Inny zygzak—Litwini w Polsce. Element liczebnie słaby, nie reprezentujący przez to żadnego niebezpieczeństwa dla państwa. Nasza tolerancyjność wzmogła jego siłę, jego postawę irredentystyczną w czasie, gdy po drugiej stronie granicy, w państwie totalnym, trwał konsekewntny ucisk Polaków. Po wielu latach nastąpił w 1936 roku zwrot w kierunku likwidacji przerostów wybujałego szowinistycznego — irredentystycznego nacjonalizmu Litwinów, zamieszkujących ziemie polskie. Czy wobec rozpoczętej ery normalizacji stosunków polsko - litewskich linia ta zostanie zachowana, czy ulegnie zmianie? Najprawdopodobniej zajdą jakieś zmiany. Byle tylko przyniosły również zmiany i na odcinku życia ludności polskiej w Litwie.

Ukraińcy. Zagadnienie kapitalne, najkapitalniejsze ze wszystkich zagadnień narodowościowych, jakie mamy. Nie trzeba tego tłumaczyć. Byliśmy wobec nich raz tolerancyjni, bratnio — słowiańscy, innym razem ostro „pacyfikacyjni", kiedy indziej ugodowi. Farby zmieniały się jak w kalejdoskopie. Jeden wojewoda reprezentował kurs liberalny, inny mocnej ręki, trzeci — nie wiedział w ogóle co ma robić. Rezultaty są na ogół dość smutne. Linia łamana, zygzakowata, doprowadziła do wzmocnienia postawy żywiołu ukraińskiego w naszych województwach południowo - wschodnich, nie przynosząc odpowiednich korzyści naszej polityce państwowej. Stan rzeczy, jaki niejednokrotnie daje się obserwować na tych terenach, jest ilustracją skutków bezplanowości w dziedzinie zagadnień narodowościowych.

Brak programu cechował również ubiegłe lata w kwestii żydowskiej. Kwestię tę pozostawiono jako materię najbardziej demagogicznych rozgrywek wewnętrzno politycznych w społeczeństwie polskim. Stanowisko to, jeśli w ogóle w tym wypadku o stanowisku można mówić, wypływało z naszego lenistwa, z wrodzonej niechęci do „ruszania" rzeczywiście trudnego zagadnienia, które, jak żeśmy się pocieszali — przecież nie zagraża naszemu bezpieczeństwu i obronności państwa, a wobec tego nie jest pilne. Doprowadziliśmy do tego, że w epoce, gdy sprawa żydowska w innych państwach rozwiązywana jest drogą zarządzeń gospodarczych, czy ograniczeniami prawnymi, u nas wyraża się z jednej strony w najbardziej brutalnych i najmniej celowych metodach deptania godności ludzkiej, z drugiej „wodzowie" żydowscy ośmielają się grozić nam dawno wypowiedzianymi przez nas i upakarzającymi naszą dumę narodową genewskimi „kapitulacjami" mniejszościowymi i z całą bezczelnością odrzucają propozycję wspólnego z Żydami opracowania planu rozwikłania skomplikowanego zagadnienia.

W Niemczech — ludność polska skazana jest przez państwo na wynarodowienie. To samo dzieje się na Litwie. Taki sam stosunek cechuje Łotwę. W jedynym nie - totalnym państwie, graniczącym z Polską, w którym żyje mniejszość polska t. j. w Czechosłowacji, dominuje ta sama zasada. W Polsce mniejszości narodowe posiadają zagwarantowaną w Konstytucji swą „magna charta libertatem". Wszystkie niemal, nie wyłączając żydowskiej, przesiąknięte są duchem ofenzywnym, odśrodkowym, dla państwa w tym położeniu jak Polska nad wyraz niebezpiecznym. A my wciąż nie robimy nic, żeby ten stan rzeczy zmienić, w szczególności, aby pośrednio oddziałać na położenie naszych braci w państwach ich zamieszkania.

Czy droga naprawy w tej dziedzinie jest trudna?

Napewno nie. Mamy wszystkie elementy w ręku do dokonania gruntownej analizy całokształtu zagadnienia narodowościowego w Polsce, oraz zagadnień poszczegól-

nych, z których każde ma swoje wielostronne indywidualne oblicze. Mamy spory dorobek poważnych prac przygotowawczych. Trzeba tylko zdobyć się wreszcie na analizę i na jej podstawie wypracować plan, który konsekwentnie przez jeden, a nie dziesięć ośrodków dyspozycyjnych — jak to wciąż u nas bywa — będzie realizowany.

Idea przeprowadzenia tego planu winna wyrastać z tego samego dążenia, z jakiego zrodziły się cytowane ustępy naszej konstytucji. Z dążenia do zgodnego współżycia wszystkich obywateli zamieszkujących państwo polskie, niezależnie od ich narodowości. Państwo to w myśl konstytucji — ma być wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Dobrem najwyższym jednak było, jest i pozostanie dla narodu polskiego, dla Polaków, którzy dlatego w masie tych „wszystkich obywateli" stanowią bezapelacyjnie kategorię pierwszą, głównych gospodarzy gmachu, któremu na imię „Rzeczpospolita Polska".

Gmach ten może być „wspólnym dobrem" tych tylko, którzy decydują się na jego zamieszkiwanie na zasadach zgodnego współżycia z jego gospodarzami. Albo ktoś taki dom uznaje za swój, albo nie. Albo ktoś uznaje normy współżycia ustalone dla wszystkich mieszkańców, nie wyłączając norm eksmitujących dla niewywiązujących się ze swych zobowiązań, albo musi się zrzec praw współgospodarza. Nikogo asymilować w sensie narodowym siłą nie zamierzamy, choć dla wszystkich narodowości, prócz Żydów, otwieramy szeroko wrota, prowadzące do polskiej wspólnoty narodowej. Od wszystkich jednak wymagać będziemy pełnej i bezwzględnej lojalności w stosunku do interesów Rzeczypospolitej.

Na tych prostych, szczerze wobec naszych współobywateli sformułowanych zasadach, należy oprzeć opracowanie, potem konsekwentne realizowanie planu naszej polityki narodowościowej.

Tylko trzeba się spieszyć. Żyjemy bowiem w czasach niespokojnych. Dom nasz, aby ostać się burzom, które nań niezawodnie spadać będą, musi być zbudowany na granitowych podstawach, nie na zygzakach, które mogą się stać przekleństwem naszej współczesnej rzeczywistości.

Fikcje historyczne

(B. S.) Na marginesie ustalającego się z roku na rok schematu obchodów rocznicy 15 sierpnia roku 1920 nasuwa się szereg uwag krytycznych.

Najłatwiejszą z tych uwag jest obserwacja pewnego paradoksu, którego wyrazem jest połączenie gorących wzmianek i deklamacji o rocznicy rzekomego zjednoczenia wszystkich sił Narodu z równoczesnym starannym zamykaniem dzisiejszych obchodów w ramach wyraźnych organizacji grupowych, owe tworzenie urozmaiconej galerii różnych „czynów": „chłopskiego", „narodowego", „robotniczego" etc.

Jest to jedna z niewątpliwych fikcji, związanych z obchodem dnia 15 sierpnia. Niekonsekwencja tego rodzaju postawy jest widoczna. Nie jesteśmy jednak tego rodzaju fanatykami i doktrynerami samego słowa „zjednoczenie", byśmy się mieli zbytnio tym gorszyć i przejmować. Jesteśmy skłonni do najbardziej tolerancyjnego stosunku do tego rodzaju przejawów wysuwania sztandarów własnych i cząstkowych nawet tam, gdzie z natury rzeczy powinien widnieć sztandar wspólny. Niech każdy chwali Pana Boga we własnym kościele, byle go tylko chwalił. W ogólnym wyniku może być pewien pożytek nawet i z takiego nabożeństwa.

W danym wypadku chodzi nam o fikcje innego rodzaju, czysto historyczne. Jeżeli bowiem historia ma być istotnie nauczycielką życia, musi być historią — nie legendą. W danym wypadku zaś trudno nie dostrzec zafałszowania rzeczywistości z przed lat dwudziestu elementami niezupełnie zgodnymi z rzeczywistością, systematycznego operowania fikcjami historycznymi i wyciągania wniosków z nieistniejących faktów.

Fikcją przede wszystkim jest samo podnoszenie do rzędu naczelnych elementów życia narodowego latem roku 1920 legendy o rzekomym zupełnym „zjednoczeniu" sił narodowych. Zjednoczenie Narodu we wspólnocie dążeń — to coś więcej, niżeli tylko powszechne podporządkowanie się konieczności walki z następującym wrogiem. Nie czyńmy cnoty z rzeczy zbyt elementarnych. Naród, który by w warunkach tego rodzaju, jakie istniały w roku 1920, wahał się czy walczyć z wrogiem — byłby zjawiskiem patologicznym, wyjątkowo niezdrowym i niemoralnym. Tej potworności istotnie w roku 1920 uniknęliśmy. Powszechność poczucia obowiązku walki była istotnie wielka. Czy jednak wystarcza to, by można było z dużą emfazą mówić w związku z miesiącami letnimi roku 1920 o ówczesnej wzorowej i szczególnej jedności Narodu?

Jedność Narodu w znaczeniu politycznym —to nie jest tylko jedność żołnierza w szeregu, przedstawiająca się w posłuchu w stosunku do obowiązującej go komendy. Nie jest to również jedność zrozumienia, że nie należy dać się zarzynać, czy zakuwać w kajdany bez próby oporu. Z pojęciem politycznym jedności musi być związane zupełnie coś innego: jedność świadomej koncepcji dążeń pozytywnych, jedność myśli politycznej, szczerość wzajemnego zaufania, odrzucenie rachub i interesów grupowych, osiągnięcie stanu wysokiej zgodności myśli i woli.

Czy jednak w tym znaczeniu można mówić o jednolitości Narodu w roku 1920? Niestety, trzeba mieć krótką pamięć, by tak nadmiernie upraszczać rzeczywistość.

W pierwszym okresie po odrodzeniu Państwa mieliśmy istotnie kilka momentów manifestacyjnego i zdrowego przejawienia pozytywnej jednolitości. Jednym z najbardziej pod tym względem cennych momentów był dzień 20 lutego roku 1919, w którym zebrany Sejm — bez dyskusji i bez oporu, aczkolwiek nie bez zastrzeżeń wewnętrznych — jednomyślnie powierzył stanowisko Naczelnika Państwa Józefowi Piłsudskiemu. W roku 1920 podobnym momentem pozytywnej jednomyślności był bodajże jeden okres, w którym wojsko polskie stało w Kijowie, gdy Marszałek ówczesnego Sejmu, Włodzimierz Trąmpczyński, witał powracającego do stolicy Zwycięskiego Wodza imieniem całego Sejmu, tym samym zaś całego społeczeństwa.

Stan ten jednak nie trwał długo. Wystarczyło pierwsze zachwianie się frontu, pierwsze niepowodzenia. Nastąpił moment, w którym należało właśnie wykazać pełny hart duszy Narodu, moment, o którym później Wódz Naczelny mówił w jednym z odczytów: „Bolszewicy zbliżali się do Warszawy. Po wielu zwycięstwach, które odniosłem, spotkały mnie klęski. Zbierałem się z siłami, aby umrzeć lub zwyciężyć. Szukałem metody dla pracy, szukałem koncepcji najbardziej odpowiedniej dla każdej sytuacji." I otóż wówczas ze strony dużej części społeczeństwa nastąpiła „obraza, gdy wojna dotoczyła się do stolicy i po bulwarach spokojnie jeździły tabory".

Znaczenie postawy moralnej społeczeństwa w podobnych momentach jest niewątpliwie wielkie. W Polsce roku 1920 postawa ta nie przejawiła się jednak w tak jednostronnie różowych barwach, jak to wygląda w dzisiejszych wspomnieniach z okazji rocznicy. Po latach osiemnastu ostrości zacierają się, obraz wygładza, dramat zaczyna przypominać sielankę. W przebiegu faktów i w atmosferze owego okresu wyglądało to jednak inaczej. Obok wysoce wartościowych kart zapału, wiary i męstwa — w książce ówczesnych wypadków znajdujemy i zupełnie odmienne karty. Nie będziemy tutaj zatrzymywali się nad przypominaniem szerokiej gamy wszelkiego rodzaju zarzutów, insynuacji, oszczerstw, jakie właśnie w roku 1920 padały pod adresem ówczesnego Naczelnego Dowództwa, w okresie gdy przygotowywało ono decydującą o losach wojny kampanię. Niemniej nie

trzeba zapominać, że i tego rodzaju przygrywka stanowiła smutnej pamięci element naszych ówczesnych przeżyć. Nie będziemy również analizowali szerzej prób przeniesienia momentów politycznego zaufania lub nieufności nawet na tego rodzaju czysto wojskową akcję jak tworzenie Armii Ochotniczej czy Rady Obrony Państwa. Można zaryzykować paradoksalne twierdzenie, że błogosławieństwem sytuacji ówczesnej był fakt zbyt pozornie groźnej, zbyt napiętej i tragicznej sytuacji na froncie. Ten fakt zadecydował w dużej mierze, że niezdrowa atmosfera nie wyładowała się w nieobliczalnej szkodliwości czynach. Groza sytuacji była zbyt wielka, by ktokolwiek chciał realnie wyciągnąć ręce po odpowiedzialność za dalszy przebieg wypadków. Niemniej jednak nawet w tym najbardziej elementarnym zakresie, w zakresie jednolitości woli i myśli kierującej Armią, tym zbrojnym narzędziem Narodu — nie brakło prób krzyżowania i wikłania normalnego i zdrowego stanu rzeczy. W rezultacie wytworzono — według określenia Tego, który był ofiarą eksperymentów — „jedną z najcięższych praktyk w historii, to jest praktykę polskiego naczelnego wodza", wytworzono stan, o którym w tym samym odczycie z dnia 26 marca 1926 r. mówił po latach sześciu, że „raz po raz dusza moja musiała rozpryskiwać się na drobne kawałki i potem dla najcięższych decyzji w jedno się zbierać dla odniesienia zwycięstwa".

Józef Piłsudski za odniesione ostatecznie zwycięstwo zapłacił wysoką cenę głębokiego i nigdy już nieprzezwyciężonego rozczarowania do własnego Narodu. Nie chcemy podejmować tutaj zasadniczej dyskusji nad sprawą, w jakiej mierze rozczarowanie to było uzasadnione istotnymi przywarami tego Narodu, w jakiej mogło wynikać z wielkości dokonanego w tym okresie wysiłku psychicznego, połączonego z koniecznością równoczesnego przełamywania wstrętu do rzeczy małych i niskich, idących ze społeczeństwa, od ludzi, których los rozstrzygał się w dziejowej walce. Niemniej jednak nie trzeba sobie upraszczać sytuacji, nie trzeba stwarzać legendy, że rok 1920 był rokiem idealnie zdanego egzaminu, wyjątkowej jednolitości, nadzwyczajnego zgrania się wszystkich czynników w żywiołowej akcji. Historię własną trzeba szanować — nie znaczy to jednak, by należało ją ubarwiać i stroić w fałszywe ornamenty. A takim fałszywym ornamentem jest utrwalająca się dziś wersja o wzorowej jedności Narodu w stosunku do ciężkiego i odpowiedzialnego okresu letnich miesięcy roku 1920.

*

Lecz jest i druga strona tej samej legendy. W rozumnym jak zawsze artykule, zamieszczonym w N-rze 23 „Epoki", pisze red. Mieczysław Niedziałkowski o „wielkim doświadczeniu" roku 1920. Z wyników tego doświadczenia chce wyciągnąć wnioski na dobę dzisiejszą. Wnioski te brzmią jak następuje: *„Gdyby rząd Witosa — Daszyńskiego powstał o kilka miesięcy wcześniej — moglibyśmy uniknąć wielu dramatów. Trzeba zawsze umieć uruchomić w porę wielkie siły realne, drzemiące w polskich miastach i po wsiach polskich"*.

Dalecy jesteśmy od chęci polemizowania z tak postawionym wnioskiem. Nie mamy również tendencji podejmowania dyskusji, pomniejszającej symboliczno-moralną rolę rządu Witosa — Daszyńskiego w roku 1920. A jednak nasuwa nam się tu kilka uwag.

Jeśli z doświadczeń roku 1920 chcemy wydobyć wszystkie prawdy realne, nie możemy być jednostronni. Taką jednostronnością jest twierdzenie, że można było wiosną roku 1920 powołać rząd Witosa — Daszyńskiego i w oparciu o powszechną mobilizację społeczeństwa przeprowadzić do końca wojnę z Sowietami na wielkich obszarach wschodnich.

Jedną z podstawowych trudności sytuacji w roku 1920 było, że istniała wielka dysproporcja pomiędzy możnością zdobycia i zorganizowania politycznego oparcia w społeczeństwie dla wojny o charakterze obronnym i dla wojny, której cele polityczne wybiegały poza zakres bezpośredniego i bliskiego odczuwania ówczesnych doraźnych niebezpieczeństw. Rząd Witosa—Daszyńskiego odegrał dużą, aczkolwiek przede wszystkim symboliczną, rolę w organizacji o b r o n y kraju. Wyobraźmy sobie jednak ten sam rząd o kilka miesięcy wcześniej, gdy istotnie należało przeprowadzić wielką, powszechną mobilizację dla zdobycia odpowiedniej armii na dokonanie wyprawy kijowskiej. Czy istotnie Stronnictwo Ludowe, a tym bardziej P. P. S., zechciałoby przyjąć na siebie jasną i wyraźną odpowiedzialność za te „imperialistyczne" plany i cele wojenne? — Nie trzeba zbytnio przypominać sobie atmosfery nastrojów ówczesnych, by odpowiedzieć negatywnie. Realizacja wielkich planów politycznych Józefa Piłsudskiego była możliwa przy cichym zadowoleniu, lecz nie przy jawnym przyjęciu za nie odpowiedzialności ze strony ówczesnych naszych stronnictw politycznych, w pierwszym zaś rzędzie właśnie Stronnictwa Ludowego i P. P. S.

Stąd też — przy zupełnej zgodzie na tezę, jeśli ją dobrze rozumiemy, że punktem głównym tragicznych przeżyć letnich roku 1920 był fakt, że istotny wysiłek mobilizacyjny społeczeństwa był wykonany zbyt późno, dopiero dla celów obronnych, nie zaś dla uprzednich ofensywnych — nie możemy zgodzić się na twierdzenie, że łatwo można było inaczej pokierować wypadkami przez wcześniejsze stworzenie rządu z Witosem i Daszyńskim na czele. Pomijając już układ stosunków politycznych w ówczesnym Sejmie, można śmiało zaryzykować twierdzenie, że rząd symbolizowany tymi dwoma nazwiskami mógł być w ówczesnych warunkach tylko Rządem Obrony, lub Rządem Pokoju, nie mógł być rządem istotnie zwycięskiej wojny, toczonej poza bezpośrednim zasięgiem terytorium mniej lub bardziej etnograficznie polskiego.

Fakt ten miał swoje znaczenie również i po dniu 15 sierpnia. Powiedzmy sobie otwarcie, że nie wiele brakowało, by nie zaważył w sposób najbardziej fatalny na ostatecznym wyniku wojny, by — po zwycięstwie orężnym — nie zrezygnowano z zasadniczych korzyści zwycięstwa. Charakter ówczesnego Sejmu w dużej mierze sprzyjał temu, że wygrawszy wojnę byliśmy bliscy przegrania pokoju. Szczęściem naszym było szybkie tempo posuwania się wojska, które niejako wykreślało nasze granice państwowe. Gdyby tempo to jednak było nieco tylko wolniejsze — zapłacilibyśmy zapewne za to ogromną i łatwą redukcją naszych aspiracji i celów państwowych.

Jeśli piszemy o tym, to nie dlatego, by komukolwiek czynić zarzuty, lub obniżać wartość jego zasługi. Chodzi po prostu o to, by nie ulegać łatwym i jednostronnym sugestiom. Symbole są rzeczą niesłychanie ważną, nie są jednak wszystkim. Podobnie w każdym ciężkim momencie historii rzeczą niezmiernej wagi będzie „uruchomienie w porę wielkich sił realnych, drzemiących w polskich miastach i po wsiach polskich" — nie trzeba się jednak łudzić, by uruchomienie to zastąpiło i usunęło potrzebę istnienia w takich właśnie momentach planowej i jednolitej woli, reprezentującej coś zupełnie odmiennego, niżeli poczucie bieżących interesów i konieczności, reprezentującej określoną i wyraźną myśl i odpowiedzialność historyczną.

Rok 1920 powinien był nas nauczyć bardzo wiele. Jedną z jego nauk ujął w cytowanym wyżej odczycie Józef Piłsudski w formie przestrogi, „by pracy wojennej, pracy naczelnych wodzów, nie lekceważyć i nie tak okrutnie losem Rzeczypospolitej się bawić". Jednakże zarówno ta, jak i wszystkie inne nauki i doświadczenia tego okresu wymagają, by czerpać z nich w oparciu o najbardziej nawet surową i nieprzyjemną rzeczywistość, nie o wygładzoną i na użytek pewnej grupy ludzi spreparowaną legendę.

Adam Andrzejewski

Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu

Już sam tytuł książki i postawiony w nim problem[1]) wywołać musi zainteresowanie. Potęguje je jeszcze zapowiedziana w przedmowie obrona zasad liberalizmu, dziś pomiatanego i wyklinanego przez możnych tego świata, którego rola jednak — zdaniem autora — mimo to nie skończyła się w historii. Niewdzięczne zadanie, jakiego podjął się znany ekonomista i publicysta krakowski F. Zweig, jest o tyle trudniejsze, że obrona, jeśli ma być skuteczna, musi być na miarę ataków, a te zarówno rozległością poruszanych zagadnień, bogactwem i realizmem argumentów, jak również talentem pisarzy, ekonomistów i polityków, są niezwykle silne. Wreszcie pamiętać trzeba, że prąd życia prze w kierunku przeciwnym. Przeciwstawienie się mu świadczy jeśli nie o odwadze myśli, to przynajmniej o przywiązaniu do dawnych nurtów i przekonaniu o ich głębokości i słusznym kierunku.

Tło książki Zweiga stanowi przekonanie o zbieżności dwóch sił, panujących w XX wieku — nacjonalizmu i socjalizmu. Kombinacje ich, jakie w różnych dozach zwyciężyły w szeregu państw europejskich, przekonały, że choć na pozór walczą z sobą i wzajemnie się wykluczają, w rzeczywistości łączą się i wzmacniają. Realizacja marksizmu w Rosji Sowieckiej wywołała konieczność odgrodzenia się od reszty świata, zwycięstwo zasad nacjonalistycznej autarkii w Niemczech zmusiło do stosowania wielu metod socjalizmu państwowego. Połączone siły nacjonalizmu i socjalizmu podzieliły Europę, uniemożliwiając normalną międzynarodową współpracę, która jest warunkiem postępu kulturalnego i materialnego. Jedyny ich sukces — niesłychany rozwój techniki militarnej — prowadzi do katastrofy. W tym chaosie — zdaniem autora — tylko myśl liberalna, pokojowa przez swe podstawowe tolerancyjne założenia i wroga militaryzmowi, który uniemożliwia prowadzenie jej gospodarki, może wskazać drogi wyjścia.

Zasady liberalizmu wysuwane przez Zweiga nie pokrywają się z popularnymi wyobrażeniami teorii liberalnych, których cechą najbardziej uchwytną był bezwład woli ludzkiej, gdy chodziło o regulowanie problemów zbiorowych i przekonanie o celowości mechanicznej automatyki w tym zakresie. Liberalizm Zweiga jest aktywny — głosząc konieczność wolnej gry, domaga się interwencjonalizmu państwowego dla stworzenia potrzebnych ku temu warunków. Dopuszcza, a nawet zaleca, podporządkowanie działalności banku emisyjnego władzy państwowej. Zawiera liberalizm ten również treść społeczną — reformę socjalną, ochronę pracy, program oświaty i kultury mas. Choć motywacji szuka u Adama Smitha i Johna Stuarta Milla, a więc w dniu wczorajszym, ma być wolnościowym prądem jutra, który przyjdzie po dzisiejszej epoce neomerkantylizmu.

[1]) F. Zweig — „Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu". Książnica - Atlas, 1938.

Liberalizm Zweiga walczyć będzie przeciw koncentracji własności w rękach prywatnych, przeciw gromadzeniu jej przez państwo. Monopole, kartele, trusty, koncesje i przywileje wywłaszczają masy, podczas gdy demokratyzacja własności jest podstawowym kanonem istotnej wolności i zarazem gwarancją postępu gospodarczego społeczeństw, wszelkiego bowiem rodzaju reglamentacje utrudniają konkurencję i zdrowy podział pracy. W płaszczyźnie międzynarodowej dąży neoliberalizm do utrzymania wymiany i podziału pracy. Sen o autarkii jest „nie tylko ułudą, ale i złym snem podszeptywanym przez najgorszych i najciemniejszych przedstawicieli ludzkości, przez reakcjonistów, którzy by chcieli cofnąć ludzkość jako całość i cofnąć kulturę gospodarczą i duchową każdego narodu z osobna".

Interwencjonizm neoliberalistyczny można by nazwać negatywnym. Nie dąży on do osiągnięć twórczych w potocznym tego słowa znaczeniu, idzie mu przede wszystkim o regulowanie warunków fair-play, a ponieważ wymagają one możliwie równego układu sił, będzie więc z jednej strony ograniczał nadmierne dążenia do koncentracji, z drugiej niszczył istniejące przerosty. Wywoła to oczywiście usztywnienie poszczególnych elementów gospodarstwa. Czy „neoliberalna" reglamentacja nie będzie w wielu wypadkach miała identycznych skutków, jak wyklinana „etatystyczna"? Wreszcie czy skromny jej zasięg, przedstawiony w książce Zweiga, nie ulegnie — oczywiście w wypadku realizacji — zwykłemu losowi zarządzeń reglamentacyjnych i nie rozszerzy się? Wydaje się, że podobnie utrzymywana „wolna konkurencja" byłaby dość kłopotliwa! Takie przynajmniej wątpliwości nasuwają się czytelnikowi, który przejął się innymi, krytycznymi wobec zreglamentowanej rzeczywistości partiami „Zmierzchu liberalizmu". Zweig ich nie próbuje nawet rozpraszać, poprostu nie zauważa.

Dla przeciwnika liberalizmu sformułowanie podobne będzie miało natomiast inne punkty drażliwe. Koncepcja neoliberalna opisuje nadal fikcję wolnej konkurencji, której doskonałość i użyteczność życiową przyjmuje jako dogmat. Brak tu przede wszystkim próby naświetlenia minionej epoki liberalizmu. Nie mogą wystarczyć rozsiane z rzadka uwagi, tłumaczące wszystkie istniejące anomalie gospodarcze i społeczne odstępstwem od liberalizmu, ew. skutkami wielkiej wojny. Narzuca się bowiem wielokroć zadawane pytanie — dlaczego w takim razie odstępstwa od liberalizmu miały w ogóle miejsce? Czy cały świat zmowy kapitalistycznej i reakcji przeciw niej nie jest prostą konsekwencją wolnej konkurencji, która z natury rzeczy uprzywilejowuje jedne układy gospodarcze w porównaniu z drugimi?

Bez rehabilitacji przeszłości liberalizmu budowanie nowej teorii liberalnej będzie miało kruche fundamenty, choćby zakładała ona, że rozwiąże swe najistotniejsze trudności przez... interwencję państwa. Inna rzecz, że w subiektywnym zapatrywaniu rehabilitacja ta przynajmniej w zakresie omawianych wyżej problemów jest niemożliwa.

Obronę zasad liberalnych poprowadził Zweig jednokierunkowo, wysuwając streszczony nieco wyżej program neoliberalizmu społecznego i omawiając jego stosunek do poszczególnych faktów i problemów dnia dzisiejszego. Ujęcie takie wprowadza zamieszanie, polemika toczy się równocześnie wszerz na dwu wybranych przez autora, nie współrzędnych jednak z sobą, płaszczyznach.—Jedną, idealną, tworzą wskazania liberalne, które dzięki teoretycznej konstrukcji pozbawione są cienia win doczesnych, na drugą składają się fakty „planowo-etatystycznej" działalności, obarczone nie tylko zwykłymi błędami wykonania, lecz jeszcze pohopnie przez Zweiga uznanymi za przejaw skończonych i zamkniętych systemów, choć są to raczej eksperymenty i poszukiwania. Podobne postawienie sprawy jest oczywistym ułatwieniem, dającym w rezultacie wątpliwej wartości zwycięstwa.

Ułatwieniem jest również następne uproszczenie: przedstawianie liberalizmu jako jedynego systemu pokoju i ładu i sprowadzenie jego przeciwników do jednego miana siewców niezgody i apostołów zdziczenia. Sugeruje się w ten sposób mimowoli, że ten, kto się przeciwstawia wolnej konkurencji, jest po drugiej stronie barykady i w tych sprawach. Jest to zresztą konsekwencja poprzedniego stanowiska.

W sumie książka nie wiele chyba osób przekona do liberalizmu lub natchnie wiarą w jego nową misję. Pod tym względem wydaje się chybioną całkowicie. Inna natomiast musiałaby być jej ocena, gdyby takich zadań sobie nie stawiała.— Poza tym zawiera bowiem wiele ciekawych stwierdzeń, z którymi nie zawsze można się co prawda zgodzić, ale z którymi prawie zawsze warto podyskutować.

Remigiusz Bierzanek

Momenty narodowościowe w gospodarczej współpracy Polski z zagranicą

I

W nauce ekonomii jak również w publicystyce gospodarczej przyjął się pogląd, który odróżnia wśród przyczyn tłumaczących zjawiska i procesy życia gospodarczego dwa rodzaje czynników: gospodarcze i pozagospodarcze. Pierwsza grupa podlega zazwyczaj wnikliwej analizie, dokonywanej od chwili narodzin ekonomii do dnia dzisiejszego przez liczną plejadę mniej lub więcej wybitnych ekonomistów. Stąd dział ten poznawczy czerpie w dużym stopniu z bogatego dziedzictwa teorii, operuje pojęciami precyzyjnymi, bo zahartowanymi w ogniu gorących dyskusji naukowych, posiada wykształcone metody i może się poszczycić znacznym i wyjątkowo ścisłym jak na naukę społeczną, dorobkiem naukowym. Bez względu na to, czy chodzi o czystą ekonomię, jak się niekiedy nazywa teorię ekonomii, czy też o metodę historycznego podejścia w badaniach ekonomicznych, czy wreszcie o modne dziś badania nad organizacją i planowaniem gospodarstwa społecznego, wszędzie dostrzegamy duże zainteresowanie poznawcze i poważne osiągnięcia naukowe.

Odmienny charakter nosi druga grupa — czynniki pozagospodarcze. W ujęciu statycznym stanowią one odchylenie od kierunku wyznaczonego przez kryteria uznane za gospodarcze, są jak gdyby aberacją promieni rzucanych przez jasne prawa ekonomiki. Przy podejściu dynamicznym składają się one między innymi na to, co zwykliśmy nazywać momentami sztywnymi, nieelastycznością życia gospodarczego. Tak czy inaczej czynniki pozagospodarcze uważane są za pewnego rodzaju „irregularitas" życia gospodarczego, są intruzem, niepozwalającym na „normalne" procesy gospodarcze, przeszkodą do objęcia bez reszty stosunków gospodarczych ścisłymi, „spiżowymi" prawami ekonomii.

Znaczenie czynników pozagospodarczych jest różne w poszczególnych okresach na poszczególnych terenach i odcinkach życia gospodarczego. O ile niekiedy rola ich nie sięga poważniejszych rozmiarów i całkowicie usprawiedliwia dyskryminacyjną poniekąd nazwę — nienormalności życia gospodarczego, to w innych wypadkach doniosłość ich jest znaczna i musi być brana pod uwagę.

Różne też były poglądy na znaczenie czynników gospodarczych w życiu gospodarczym oraz na zakres tego pojęcia. Najwyraźniej rozróżnienie między czynnikami gospodarczymi i innymi występowało u zwolenników koncepcji „homo economicus". Stawianie u założeń ekonomii fikcji, że człowiek postępuje nieugięcie w myśl zasady gospodarności, zawierało implicite teoretyczne wyodrębnienie momentów gospodarczych i rozważanie ich w izolacji od wszelkich wpływów postronnych. Różnica między czynnikami gospodarczymi a innymi zacierała się w stopniu bodaj najsilniejszym wśród ekonomistów szkoły historycznej, którą szczególnie mocno podkreślała zwartość organizmów gospodarczych, wykształconych pod wpływem szeregu sił dziejowych tak natury gospodarczej jak politycznej i społecznej.

Wyżej przedstawione podejście do zagadnień gospodarczych nie jest samo w sobie niesłuszne. Jest psychologicznie tym łatwiej zrozumiałe, że ekonomiści, wychodząc z podstawowych pojęć wartości gospodarczej i jej mierników, są skłonni zwracać uwagę na kryteria ściśle gospodarcze. Z punktu widzenia ekonomii nie budzi zastrzeżeń teoretycznych nawet całkowite pomijanie w badaniach wszelkich momentów pozagospodarczych z przekazaniem ich innym naukom. Błąd rozpoczyna się z chwilą, gdy bagatelizuje się te momenty i wyznacza się im rolę mniejszą niż mają w rzeczywistości.

Wśród czynników pozagospodarczych, wywierających wpływ na życie gospodarcze, znajdują się między innymi momenty narodowościowe. Charakterystyczny dla ostatniego stulecia i niesłabnący w chwili obecnej wzrost świadomości i poczucia narodowościowego wytworzył z grup narodowościowych siłę społeczną, pozostającą nie bez znaczenia również dla życia gospodarczego. Wprawdzie nie wydaje się możliwe w chwili obecnej przeciwstawienie prawom „czysto ekonomicznym" — np. prawu podaży i popytu — prawa narodowościowej wspólnoty gospodarczej czy bojkotu gospodarczego (mimo że teoretycznie przeciwstawienie takie można sobie wyobrazić), niemniej jednak porównywanie tych formuł w niektórych dziedzinach gospodarstwa społecznego nie jest może w dobie dzisiejszej tak absurdalne, jak by mogło się napozór wydawać.

Zdawać by się mogło, że momenty narodowościowe nie są czymś obcym w ekonomii, która tak często nosi nazwę ekonomii narodowej. Dodajmy, że niemniej popularne są terminy „gospodarstwo narodowe", „system gospodarki narodowej", „majątek narodowy", „dochód narodowy".

Błędne byłoby jednak pohopne wyciąganie na podstawie tej terminologii wniosku, jakoby nauka ekonomii była przeniknięta momentami narodowościowymi w tym znaczeniu, jakie posiadają obecnie zjawiska oznaczane mianem narodowościowych. „Nacjonalizacja" terminologii pochodzi z przeszczepienia pojęć zachodnio-europejskich, według których jeszcze dziś naród oznacza państwo. Tak zwane w ekonomii momenty narodowe są właściwie momentami związanymi z istnieniem państwa i świadczą o ujmowaniu zagadnień ekonomicznych na tle wspólnoty ogólno-państwowej, która oczywiście nie zawsze pokrywa się z grupą narodowościową.

Działem gospodarki, w którym nie można nie doceniać względów narodowościowych, jest spółdzielczość. W krajach narodowościowo mieszanych spółdzielnie organizują się z reguły według narodowości. Członkowie spółdzielni pozostają w stosunkach ze spółdzielnią własnej grupy narodowościowej niezależnie od tego czy daje to optymalne korzyści gospodarcze; spółdzielnie łączą się w związki rewizyjne według solidarności narodowej z pominięciem łączności terytorialnej, komunikacyjnej, branżowej i in. Różnice w rentowności udziałów stosunkowo w małym stopniu wpływają na przechodzenie udziałowców ze spółdzielni jednej grupy narodowościowej do spółdzielni innych grup. Obserwujemy często, że spółdzielnie, które w myśl ściśle stosowanej zasady gospodarczości winny ulec konkurencji, w praktyce rozwijają się znakomicie. Cytowany tak często przykład świetnie rozwijającej się spółdzielczości ukraińskiej jest w pewnej mierze dowodem dużego znaczenia momentów narodowościowych w życiu gospodarczym. Ukraińskie spółdzielnie mleczarskie płacą w szeregu miejscowości za mleko o 25% mniej, niżeli konkurencyjne mleczarnie polskie lub żydowskie: nie powoduje to jednakowoż odpływu dostarczających mleko Ukraińców. Spółdzielczość ukraińska zatrudnia (w celach niegospodarczych) nieproporcjonalnie wysoką liczbę pracowników; nierentowne w dużej mierze wydatki personalne nie paraliżują jednak pomyślnego rozwoju spółdzielczości ukraińskiej.

Nasuwa się pytanie, czy spółdzielczość nie jest wyjątkową dziedziną, w której momenty narodowościowe odgrywają tak doniosłą rolę i spychają na dalszy plan względy czysto gospodarcze. Życie spółdzielcze stanowi bądź co bądź teren przejściowy między dziedziną gospodarczą a społeczną, który to charakter stanowi bodaj istotę działalności. Spółdzielnia — jak mówi ustawa spółdzielcza z 1920 r. — „służąc zadaniom gospodarczym może również mieć na celu podniesienie poziomu kulturalnego swych członków", a jak wykazuje praktyka — z reguły cel ten realizuje. Przenikanie elementów społecznych do gospodarstwa spółdzielczego pociągnęło za sobą przenikanie doń prądów, które nurtują w społeczeństwie — więzi antagonizmu narodowościowego. Spółdzielczość jako dział gospodarstwa, który stanowi jedną z pierwszych zdobyczy procesu socjalizacji życia gospodarczego, jest równocześnie działem gospodarstwa najbardziej wrażliwym na wiatry, dobywające się ze skłębionego wiru życia społecznego. W okresie krzepnięcia poczucia narodowego społeczeństw spółdzielczość — jako jedna z form organizacji tego społeczeństwa — odczuwa powiew solidaryzmu narodowościowego. Tam gdzie powiew staje się w swej intensywności burzą, jak na terenach świadomej, upartej i nieustępliwej walki narodowościowej, udział w niej biorą również spółdzielnie, wykazując w swej działalności gwałtowne odchylenie od wyimaginowanego przez ekonomistów charakteru każdego zrzeszenia gospodarczego jako związku ludzi, dążących do maksymalnego zysku i spychając tzw. momenty czysto gospodarcze do roli jednego ze środków, stojących do dyspozycji grup

narodowościowych. Na terenach takich spółdzielczość staje się w dużym stopniu gospodarstwem zwartych socjalnie grup narodowościowych. Nauka o spółdzielniach jest tutaj w ścisłym tego słowa znaczeniu ekonomią narodową, bo ekonomią grup narodowościowych, nie państw, które w swych poczynaniach kierują się, czy przynajmniej winny kierować się dobrem wspólnoty państwowej.

Nie ulega wątpliwości, że więź narodowościowa, łącząca i dzieląca ludzi, nie jest obojętna na kształtowanie się stosunków gospodarczych również w innych dziedzinach. Bojkot handlowy nie jest zjawiskiem ani nadzwyczajnym, ani wyłącznie politycznym, ale wykazuje na niektórych odcinkach natężenie, zdolne radykalnie przekształcić dotychczasową strukturę narodową handlu i doprowadzić do wytworzenia nowych form obrotu towarowego. Niewątpliwie znacznie szczuplejszą jest rola momentów narodowościowych w dziedzinie handlu zagranicznego, który to dział gospodarstwa z jednej strony na skutek terytorialnego oddalenia między producentami a konsumentem najsilniej może abstrahuje od więzi między osobami zainteresowanymi w wymianie, z drugiej zaś jest dziedziną bodaj najwięcej reglamentowaną przez państwa i stąd sfera swobodnej gry czynników społecznych jest nader ograniczona.

II

Eksport polski, nadzwyczaj ważny dział naszego gospodarstwa, bo dostarczający dewiz na pokrycie importu niezbędnych surowców i utrzymujący równowagę bilansu płatniczego, pośrednio oddziaływujący na stałość waluty, napotyka na duże przeszkody na rynkach zagranicznych. Z drugiej strony na całym świecie jest rozsianych ponad 8 milionów Polaków. Narzuca się tu wprost pytanie, czy Polonia zagraniczna może wpłynąć na rozwój naszego eksportu i pod jakimi warunkami mogłaby się kształtować współpraca gospodarcza całego narodu polskiego. Innymi słowy powstaje kwestia określenia, jakie są możliwości oddziaływania na rozwój eksportu ze strony Polaków zagranicznych, jakie są czynniki, które warunkują współpracę gospodarczą z Polonią zagraniczną i środki, mogące wpłynąć na zmianę współczesnego stanu.

Na pierwszy rzut oka zdawać się może, że zakres możliwości stałej wymiany handlowej pomiędzy Polską a Polonią zagraniczną jest co najmniej szeroki. Wniosek taki sugeruje przede wszystkim liczebność Polonii zagranicznej. Wystarczyłoby przecież, by Polak zagraniczny chociażby drobny odsetek swych potrzeb zaspakajał artykułami produkcji polskiej — a eksport nasz uległby wydatnemu zwiększeniu. A dalej nie bez znaczenia pozostaje moment czysto ekonomiczny: charakter w pewnym stopniu uzupełniający, „komplementarny", produkcji polskiej i produkcji krajów emigracyjnych, zwłaszcza zamorskich. Zaopatrywanie Polski w surowce i artykuły kolonialne przez kraje z polską emigracją i odwrotnie — zaspakajanie zapotrzebowania tych krajów na artykuły europejskie wytworami polskimi wzmogłoby znacznie obroty naszego handlu zagranicznego.

Z argumentacją tą, potoczną już w naszej prasie, pozostaje w jaskrawym kontraście rzeczywistość dnia dzisiejszego. Jakkolwiek stosunki handlowe między Polską a Polonią zagraniczną (pośrednio i również bezpośrednio) istnieją a nawet wykazują niewątpliwy rozwój, są one minimalne. Nie popełniłby wielkiego błędu, kto by twierdził, że są w chwili obecnej bez znaczenia dla całości obrotów naszego handlu zagranicznego. Stoimy więc wobec „rozwartych nożyc" między tym, co jak się zdaje powinno być, a tym co jest.

Spróbujmy dać dokładniejszą odpowiedź, czy rzeczywiście rozpiętość pomiędzy możliwościami handlowymi z Polonią zagraniczną a dzisiejszymi obrotami jest wielka. W szczególności rozważmy, o ile możliwości handlowe są wprost proporcjonalne do liczby Polaków zagranicznych i do dopełniającego charakteru gospodarczego Polski i krajów imigracyjnych.

d. c. n.

Mieczysław Milbrandt

Wiedza o człowieku

Na marginesie książki Carrela «Człowiek istota nieznana»

W r. 1749 Akademia w Dijon wysunęła zagadnienie konkursowe „czy odrodzenie nauk i sztuk przyczyniło się do oczyszczenia obyczajów". Na pytanie to dał Rousseau w swojej rozprawie odpowiedź przeczącą. Posunął się nawet jeszcze dalej, twierdząc, że cywilizacja nie ma w ogóle wartości. Gdyby obecnie postawić pytanie trochę zmienione: „Czy cywilizacja współczesna dostosowana jest do natury człowieka"—jedną z możliwych odpowiedzi byłaby książka Carrela. Byłaby to odpowiedź przecząca. Ale jej konsekwencje nie byłyby w tonie Rousseau'a, ten bowiem nawoływał do stanu pierwotnego; Carrel zaś pragnie rozwoju cywilizacji, ale opartej o rzeczywistą wiedzę o człowieku.

W ostatnich dziesiątkach lat dokonano już wiele ujemnych osądów kultury współczesnej. Ale oceny oparte były przeważnie na jakiejś metafizycznej konstrukcji dziejów. I tak np. Theodor Lessing widział w rozumie przyczynę zła; rozum oddala człowieka od istoty życia. Książka Carrela jest próbą ujęcia zagadnienia na tle faktów zaobserwowanych; jest ona próbą oceny wpływu rozwoju nauk na życie człowieka i jest zarazem projektem dokonania reformy.

Olbrzymi rozwój nauk przede wszystkim o materii nieożywionej przekształcił warunki życia. Zmieniły się zarówno dziedziny, które dotyczą utrzymania się przy życiu jak i te, które wiążą się z pragnieniami wyższymi. Życie koncentruje się coraz więcej w wielkich miastach; jest przez to czynniejsze i bardziej urozmaicone. Człowiek jest w ciągłym otoczeniu innych. Wysiłki pracy jak i przenoszenia się z miejsca na miejsce zostały radykalnie zmniejszone. Higiena życia codziennego została podniesiona, co wpłynęło dodatnio na zdrowotność. Rozpowszechnienie sportu umożliwia rozwój fizyczny młodzieży. Demokratyzacja i technika udostępniły wszystkim oświatę. Różne formy rozrywek stały się powszechne. Ale obok tych zjawisk obserwuje się inne, ukazujące wyraźnie złe strony współczesnej cywilizacji. I tak np. „Jednocześnie ze zjawiskiem opanowania takich chorób jak dyzenteria, gruźlica, błonica, tyfus i t. d. i ze zmniejszeniem śmiertelności — ilość chorób umysłowych wzrasta. W niektórych stanach A. P. liczba wariatów, przebywających w zakładach, przewyższa liczbę wszystkich innych chorych razem wziętych. Obok obłąkania zaznacza się wzrost „niezrównoważonych nerwowo". Oświata ogółu podniosła się; ale zmniejszyła się ilość ludzi, stanowiących elitę intelektualną. Zaś poziom ogółu jest, mimo poprawy w stosunku do poprzednich okresów, niski. „Kupuje się więcej czasopism i książek niż dawniej. Wzrosła liczba ludzi, interesujących się nauką, literaturą, sztuką. Lecz są to formy najniższe literatury, surogaty nauki i sztuki, które na ogół przyciągają publiczność".

Można by dodać do uwag Carrela jeszcze jeden punkt. Czy mimo niezmiernego ułatwienia życia i urozmaicenia go, nie widać wzrostu fermentów niezadowolenia? Czy formy życia ułatwionego i uproszczonego nadmiernie istotnie odpowiadają naturze ludzkiej?

Tak czy inaczej fakty omówione wskazują zdaniem Carrela na to, że cywilizacja współczesna niezupełnie odpowiada człowiekowi, stworzono ją bowiem bez znajomości natury ludzkiej. Trzeba więc dostosować rozwój cywilizacji do potrzeb człowieka; należy przede wszystkim zatroszczyć się o poznanie samego człowieka.

Każda z nauk rozpatruje jednostkę ludzką tylko z pewnego punktu widzenia; bada się więc życie tkanek, organizmu, życie psychiczne i t. d. Ale chociaż człowiek jest przedmiotem zainteresowania wielu nauk, nie znamy go. Każda bowiem dziedzina wiedzy daje tylko własny schemat; każdy zaś wypadek życia przechodzi przez rejony wielu nauk, które widzą jedynie poszczególne jego fragmenty. „Żeby studiować, na przykład, wpływ czynnika psychologicznego na jednostkę wrażliwą, trzeba stosować metody medycyny, fizjologii, fizyki i chemii". Dlatego musi powstać nauka o człowieku jako całości; należy dokonać syntezy poszczególnych wiadomości, dostarczonych

przez nauki. Takiej syntezy nie dokona zgromadzenie specjalistów. Musi być ona dziełem poszczególnych ludzi, którzy będą mogli zjednoczyć w swoim umyśle wyniki wielu nauk. Zdaniem Carrela tacy ludzie istnieją.

Pozostawiając otwarte niezmiernie trudne pytanie, czy synteza, o której mówi Carrel, jest możliwa, warto się zastanowić nad zagadnieniem związanym z kwestią poruszoną. Jest to mianowicie zagadnienie stosunku poszczególnej jednostki do kultury, ponieważ pytanie o wartości cywilizacji ma swoją wartość również w odniesieniu do życia jednostki.

Człowiek w swojej postaci dojrzałej jest w dużej mierze wynikiem wpływu środowiska, wychowawców, nauczycieli, otoczenia i t. d. Jego formy codziennego życia, zarówno sposób reakcji na dzieło sztuki jak i umiejętność aktywnego zachowania się w niebezpieczeństwie, powstawały pod wpływem sugestii z zewnątrz. Ale narzucone i wykształcone dyspozycje mogą nie odpowiadać istotnej naturze człowieka, który żyje w ciągłym uczuciowym konflikcie z samym sobą, własnymi formami bytowania. Dlatego konieczne jest uświadamianie sobie własnego stosunku do kultury, odnajdywanie właściwego miejsca w momencie historycznym, dokonywanie przeglądu własnych przekonań i nawyków. Tylko świadoma ingerencja może zmienić człowieka zgodnie z jego naturą; usunąć formy narzucone. Nie wiadomo, o ile możliwa jest zasadnicza reforma cywilizacji, o której mówi Carrel. W każdym jednak razie możliwa jest przynajmniej częściowa zmiana kultury w odniesieniu do człowieka. Musi to jednak znowu być oparte o rzeczywistą wiedzę o człowieku. Stąd doniosłość zagadnień poruszanych w książce Carrela.

Tezy programowe Rady Naczelnej O.Z.N. w sprawach wiejskich

W dniach 11, 12 i 13 sierpnia r. b. odbyły się trzydniowe obrady Rady Naczelnej O. Z. N., poświęcone sprawom potrzeb gospodarczych i kulturalnych wsi polskiej. W wyniku obrad przyjęto następujące tezy programowe, regulujące stosunek Obozu Zjednoczenia Narodowego do naczelnych zagadnień życia wiejskiego.

I. TEZY ZASADNICZE

1. Wieś stanowi główną podstawę zdrowych sił fizycznych i moralnych narodu oraz główne źródło uzupełnienia wszystkich innych warstw społecznych. Równocześnie stanowi ona główną podstawę sił obronnych państwa.

W ludności wiejskiej tkwią ogromne, choć niewykorzystane dotychczas w pełni zasoby energii potencjalnej. Ich przemiana w siły aktywne dla narodu i państwa musi stać się podstawą programu, dotyczącego rozwoju wsi i gospodarstwa wiejskiego, a obejmującego obok rolników także wszystkie inne zawody, mieszkające na wsi.

2. Wieś przez wzmożenie swego dynamizmu winna zająć w państwie należne jej miejsce. Życie społeczno-gospodarcze wsi powinno być zharmonizowane z całokształtem życia społeczno-gospodarczego państwa. Rozwój wsi i gospodarstwa wiejskiego powinien być dostosowany do potrzeb obronnych i ogólnych państwa.

3. Rozwój gospodarczy Polski wymaga stałego wzrostu wytwórczości rolniczej przy równorzędnym jeszcze szybszym wzroście wytwórczości przemysłowej.

4. Gospodarstwo wiejskie winno być nadal oparte na prawie indywidualnego władania ziemią w granicach dobra ogółu i państwa oraz znajdować się w ręku rodziny, zdrowej fizycznie i moralnie, a otaczanej troskliwą opieką władz.

5. Ludność wiejska musi być czynnym i głównym współtwórcą kultury i dobrobytu wsi. Jej dotychczasowy dorobek powinien być punktem wyjścia dla pracy nad podniesieniem wsi i gospodarstwa wiejskiego. Praca społeczna na wsi powinna opierać się przede wszystkim na czynnym udziale ludności wiejskiej. Im bardziej bowiem aktywny udział bierze ludność w budowaniu kultury narodowej i w rozwoju pracy społecznej i gospodarczej, tym bardziej rozumie ona solidaryzm społeczny i znaczenie społeczeństwa jako całości, tym bardziej staje się gotową do ofiar na rzecz narodu i państwa.

Dlatego w programie rozwoju wsi i gospodarstwa wiejskiego muszą być jak najszerzej uwzględnione te zadania, które mają być zrealizowane siłami własnymi ludności wiejskiej.

6. Władze państwowe winny zapewnić zasadnicze warunki dla zrealizowania programu rozwoju wsi i gospodarstwa wiejskiego.

Działalność państwa w powyższym zakresie powinna zmierzać do wywołania i uzupełnienia wysiłków, idących z łona samej ludności wiejskiej, a nie powinna tych wysiłków zastępować, o ile ludność ta jest zdolna do ich wykonywania.

Administracja państwowa i samorządowa powinna uwzględnić w rozstrzyganiu spraw wiejskich swoiste cechy środowiska wiejskiego, by przez to przyczyniać się do ułatwiania procesów rozwojowych na wsi.

7. Ludność wiejska powinna mieć w ramach obowiązującej konstytucji zapewniony należyty wpływ na bieg spraw państwowych.

W wyniku wyborów przeprowadzonych do samorządu terytorialnego na podstawie nowej ordynacji wyborczej powinny się znaleźć we władzach samorządowych jednostki ideowe z mocnym charakterem, znające środowisko wiejskie i przepojone poczuciem odpowiedzialności za losy narodu i państwa.

8. Ludność wiejska w obecnej chwili pozbawiona jest opieki społecznej, ponieważ obecna organizacja służby zdrowia publicznego nie odpowiada potrzebom wsi. Dlatego należy wytworzyć prawne podstawy do zorganizowania opieki społecznej i służby zdrowia na wsi.

9. Nastawienie gospodarstwa wiejskiego w czasie pokoju musi uwzględnić przygotowanie warunków do jak najsprawniejszego jego przejścia na organizację i gospodarkę wojenną.

II. TEZY SPOŁECZNO-GOSPODARCZE.

1. Gospodarstwo wiejskie winno zapewnić ludności wiejskiej maksymalne zatrudnienie oraz możność wygospodarowania coraz większego dochodu społecznego, ażeby jej umożliwić rozwinięcie pełni sił duchowych i fizycznych.

2. Gospodarstwo wiejskie powinno zapewnić dla potrzeb państwowych i obronnych w jak największym stopniu samowystarczalność.

Równocześnie gospodarstwo wiejskie powinno dostarczać na cele eksportu możliwie duże nadwyżki produktów jak najbardziej uszlachetnionych.

3. Skład zawodowy ludności w Polsce wskazuje na wybitnie niezdrowe stosunki demograficzne, wyrażające się przede wszystkim w przeludnieniu rolnictwa.

Celem zmniejszenia tego przeludnienia należy dążyć do:

a) podniesienia w rolnictwie intensywności,

b) zwiększenia powierzchni użytków rolnych,

c) zapewnienia przejścia ludności wiejskiej do zajęć nierolniczych przede wszystkim przez uprzemysłowienie kraju.

4. Celem zwiększenia na wsi zatrudnienia w zawodach nierolniczych należy spotęgować zdolność wsi w zakresie przetwórstwa jej własnych surowców oraz rozbudować na wsi chałupnictwo, rzemiosła i zakłady przemysłowe. Równocześnie zaś przemysł miejski powinien w miarę możności opierać się na półfabrykatach, dostarczanych przez wytwórczość przemysłową na wsi.

5. Wieś przez podniesienie dobrobytu jej ludności będzie mogła stanowić pojemny rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych.

6. Struktura społeczno - gospodarcza wsi polskiej powinna ulec gruntownej przebudowie.

Na czoło tej przebudowy muszą być wysunięte:

a) podniesienie poziomu oświaty ogólnej i przygotowanie do zawodu rolniczego;

b) wprowadzenie racjonalnej organizacji rolnictwa;

c) naprawa struktury agrarnej;

d) podniesienie zdolności wytwórczej rolnictwa;

e) uprzemysłowienie wsi;

f) rozbudowa podstawowych urządzeń gospodarczych zwiększających zdolność wytwórczą gospodarstwa wiejskiego i polepszających warunki bytowania ludności;

g) rozwój i usprawnienie aparatu wymiany;

h) utworzenie możliwości odpływu ludności wiejskiej do nowych zawodów przez uprzemysłowienie i urbanizację kraju (w szczególności przez popieranie rozwoju nowych miast i miasteczek);

i) udostępnienie młodzieży wiejskiej przygotowania się fachowego i ułatwienia jej przechodzenia do zawodów nierolniczych;

j) unarodowienie handlu i przemysłu wsi.

7. Podstawowym warunkiem przebudowy gospodarstwa wiejskiego, realizacji jego planów rozwojowych oraz przystosowania go do potrzeb wojennych jest możliwie rychłe wprowadzenie racjonalnej organizacji rolnictwa, które powinno być oparte na ścisłej współpracy samorządu rolniczego i organizacji dobrowolnych.

W tym celu należy dążyć przede wszystkim do:

a) rozszerzenia organizacji i zakresu działania dzisiejszego samorządu rolniczego i

b) konsolidacji wszystkich dobrowolnych organizacji rolniczych.

3. Struktura agrarna Polski nie odpowiada jej potrzebom społecznym i gospodarczym, zwłaszcza wobec faktu przeludnienia wsi i szybkiego przyrostu ludności, nie znajdującego zatrudnienia poza rolnictwem. Struktura ta powinna ulec gruntownej naprawie, opartej na następujących wytycznych:

a) szybkie ukończenie parcelacji przymusowej

zgodnie z ustawą z dnia 28 grudnia 1928 r. celem zwiększenia ilości samodzielnych gospodarstw;

b) ścisłe połączenie środków działania, zmierzających do naprawy struktury agrarnej (parcelacja, komasacja, podział gruntów wspólnych, melioracje, uporządkowanie stanu prawnego, likwidacja serwitutów itp.);

c) zakładanie w ośrodkach podmiejskich gospodarstw robotniczych, ogrodniczych i ogródków pracowniczych;

d) utrzymanie pewnej liczby gospodarstw większych o wysokiej kulturze rolnej, a pozostających czy to w prywatnym posiadaniu czy też prowadzonych przez państwo, szkoły, samorządy i spółdzielnie, w celu poprawienia produkcji rolniczej i podnoszenia jej poziomu zwłaszcza w zakresie hodowli elitarnej (hodowla nasion, plantacje, hodowla zwierząt zarodowych itp.);

e) przeciwdziałanie rozdrabnianiu gospodarstw poniżej pożądanego w danych warunkach gospodarczych minimum obszaru przede wszystkim przez organizację dogodnego kredytu na spłaty rodzinne.

III. TEZY TYCZĄCE SIĘ KULTURY I OŚWIATY OGÓLNEJ ORAZ WIEDZY FACHOWEJ.

1. We wszystkich pracach kulturalno - oświatowych na wsi, powinna się przejawiać ogólnopaństwowa myśl wychowawcza.

2. Celem pracy kulturalno - oświatowej na wsi jest kształtowanie na gruncie kultury narodowej typu twórczego i uświadomionego obywatela, posiadającego fachowe przygotowanie do zawodu rolniczego oraz wyrobiony zmysł społeczny.

3. Treścią akcji kulturalno - oświatowej w organizacjach wiejskich powinny być zarówno ogólne zagadnienia kultury narodowej w oparciu o zdobycze kultury ogólno - ludzkiej, jak i zagadnienia zawodowe.

4. Szczególnie troskliwą opieką musi być otoczona twórczość ludowa, dla której Państwo i społeczeństwo winny stworzyć pomyślne warunki rozwoju.

5. Cele akcji kulturalno - oświatowej na wsi realizuje przede wszystkim szkolnictwo ogólnokształcące, zawodowe i rolnicze oraz instytucje kulturalno - oświatowe (np. uniwersytety ludowe), wykorzystujące dla upowszechnienia kultury ogólnej i zawodowej współczesne środki i urządzenia, jak: radio, kino, teatr, książka, prasa.

6. Podstawowym warunkiem podniesienia kultury wsi jest całkowita likwidacja analfabetyzmu zgodnie z opracowywanymi dyrektywami OZN.

7. W dążeniu do szerzenia praktycznej wiedzy rolniczej, do popierania nauki, jak również, celem poznania głównych elementów gospodarstwa i życia wiejskiego, oraz twiących w nich dążności rozwojowych, niezbędnym jest:

a) rozwinięcie prac badawczych, opartych na możliwie dokładnej i aktualnej statystyce rolniczej;

b) powiększenie liczby katedr na uczelniach akademickich z zakresu nauk społeczno- i ekonomiczno-rolniczych, a w szczególności zakładanie katedr handlu rolniczego, spółdzielczości i zrzeszeń rolniczych, ekonomiki drobnych gospodarstw oraz socjologii wsi;

c) powołanie do życia naczelnej placówki, koordynującej pracę naukową w dziedzinie gospodarstwa wiejskiego.

8. Dla zapewnienia rolnictwu odpowiedniej ilości sił fachowych należy:

a) planowo rozbudować i rozmieścić sieć szkół rolniczych niższych, średnich i wyższych oraz zorganizować kursy specjalne dokształcające;

b) uprzystępnić młodzieży wiejskiej korzystanie ze szkół rolniczych wszelkich stopni.

9. Celem podniesienia zawodu rolniczego na wyższy stopień kultury należy dążyć do wzmożenia akcji zawodowego przysposobienia rolniczego.

10) Celem ułatwienia dzieciom rolników przechodzenia do innych zawodów należy:

a) udostępnić im korzystanie ze szkół zawodowych nierolniczych wszelkich stopni;

b) udostępnić im praktyki w zakładach rzemieślniczych, przemysłowych i handlowych;

c) zorganizować odpowiedni system przysposobienia technicznego, rzemieślniczego i handlowego.

11. Należy dać ludności wiejskiej fachowe podstawy zarobkowania na wsi w zawodach ubocznych, przez organizowanie szkół i kursów dokształcających w różnych działach rzemiosła, chałupnictwa i handlu.

12. W organizacji szkolnictwa średniego i wyższego, należy przewidzieć kierunki i sposoby kształcenia fachowców nierolniczych, celem należytego przygotowania ich do pracy w warunkach wiejskich.

13. Inteligencja pracująca na wsi powinna być odpowiednio zespolona z życiem wsi. Liczba jej musi być zwiększona do granic, zapewniających należyty poziom kulturalny i gospodarczy wsi oraz obsłużenia wszystkich dziedzin życia wiejskiego. Wydatna rola na tym polu przypada inteligencji, pochodzącej ze środowiska wiejskiego.

14. Należy zorganizować Instytut Agronomii Społecznej, którego zadaniem będzie przygotowanie i doszkalanie pracowników fachowych i społecznych do działalności na wsi.

15. Oświata pozaszkolna musi być prowadzona pod nadzorem Państwa według jednolitego planu i metody, z wyłączeniem wpływów partyjnych.

16. Działalność oświatowo - kulturalna na wsi winna budzić zrozumienie dla spółdzielczości, jako najwłaściwszej w warunkach polskich gospodarczej formy organizowania się ludności wiejskiej.

17. Wychowanie fizyczne w środowisku wiejskim winno być otoczone staranną opieką. Zmierzać ono musi do harmonijnego rozwoju fizycznego jednostek dla zapewnienia im niezbędnej sprawności w dziedzinie zawodowej oraz przysposobienia do służby w obronie kraju.

18. Należy zorganizować odpowiednią akcję w celu uświadomienia ludności co do podstawowych zadań higieny i odżywiania.

19. Przy organizowaniu wczasów ludności wiejskiej, winny być wzięte w rachubę swoiste warunki i potrzeby wsi. W szczególności należy stworzyć odpowiednie możliwości dla turystyki, krajoznawstwa oraz dążyć do zapewnienia w czasie wolnym od pracy rozrywek kulturalnych.

20. Każda gromada powinna posiadać własny dom społeczny, jako ośrodek, skupiający działalność kulturalno - oświatową i społeczno - gospodarczą.

IV. TEZY TYCZĄCE SIĘ ZAGADNIENIA STRUKTURY AGRARNEJ W POLSCE.

1. Przy ocenie struktury agrarnej w Polsce należy przyjąć następujący podział gospodarstw, według obszarów i gruntów użytkowanych rolniczo:

a) gospodarstwa niesamodzielne, a mianowicie: parcelowe i karłowate do 2 ha, drobnowłościańskie — 2 do 3 ha;

b) samodzielne gospodarstwa włościańskie od 5 — 20 ha;

c) gospodarstwa kmiece od 20 do 100 ha,

d) gospodarstwa folwarczne ponad 100 ha.

2. Gospodarstwa niesamodzielne wobec ogromnego przeludnienia przy niedostatecznej ilości zarobków postronnych, niskiego poziomu kultury rolniczej i wadliwej organizacji zbytu nie są w stanie spełniać zadań im właściwych. Stały się one ogromnym zbiorowiskiem marnotrawionej energii ludzkiej, ośrodkiem niepokojów społecznych i politycznych. Warunki bytowania w tych gospodarstwach prowadzą do degeneracji żyjącej z nich ludności.

3. Samodzielne gospodarstwa włościańskie zajmują dziś około połowę powierzchni gruntów użytkowanych rolniczo. Stanowią one szczególnie cenny typ gospodarstw. Jednak ich wielkie wartości nie przejawiają się dziś w należytej mierze wobec niedostatecznego poziomu oświaty rolniczej oraz wobec trudności gospodarczych, które przeżywają z przyczyn od nich niezależnych.

4. Gospodarstwa kmiece nie odgrywają w Polsce poważniejszej roli wobec ich małej liczebności.

5. Gospodarstwa folwarczne mają szczególnie korzystne warunki w zakresie hodowli elitarnej (hodowla nasion, zwierząt zarodowych itd.).

6. Struktura agrarna powinna być oceniana nie tylko na zasadzie rozmiaru gospodarstw, lecz również na podstawie stopnia intensywności prowadzonej na nich gospodarki i warunków, w jakich gospodarstwa pracują.

7. Naszą strukturę agrarną pogarsza obecność licznych szachownic, licznych a nieuporządkowanych wspólnot gruntowych, służebności, wreszcie brak uporządkowania stanu prawnego, a w szczególności brak na większości ziem naszych wywołania i uporządkowania hipotek wśród drobnej własności ziemskiej.

8. Obecną strukturę agrarną w Polsce należy uznać za niezdrową.

9. Analiza poszczególnych typów wielkościowych gospodarstw rolnych w Polsce od najdrobniejszych do folwarcznych włącznie wskazuje, że każdy z tych typów może ujawniać dodatnie i ujemne cechy zależnie od warunków przyrodniczych, demograficznych i społecznych, w jakich dane gospodarstwo się znajduje. Warunki te decydują o celowości tego lub innego stosunku ilościowego gospodarstw rolnych różnych rozmiarów.

Zdrowa struktura agrarna wymaga, by istniały w Polsce obok siebie gospodarstwa rolne różnych rozmiarów od najdrobniejszych do folwarcznych włącznie.

10. Trzonem zdrowej struktury agrarnej powinny być samodzielne gospodarstwa włościańskie. Są one bowiem podstawą siły moralnej i fizycznej Narodu, opoką ładu społecznego, pozwalają na należyte wyzyskanie twórczej energii rodziny rolniczej, wreszcie mogą być pojemnym rynkiem dla przemysłu i należycie obsługiwać potrzeby spożywcze i surowcowe ludności nierolniczej przy wyraźnym nastawieniu na kierunki pracochłonne wytwórczości roślinnej, oraz na hodowlę.

11. Gospodarstwa niesamodzielne mogą być uznane jako pożądane uzupełnienia zdrowej struktury agrarnej, o ile ich znakomita większość będzie ściśle związana z aprowizacją blisko położonych ośrodków miejskich i przemysłowych. Równocześnie ośrodki te będą mogły zapewniać wspomnianym gospodarstwom dodatkowe zajęcia zarobkowe oraz pochłonąć nadmiar ich sił roboczych. Również rozwój spółdzielczości prowadzi do wybitnego polepszenia warunków pracy gospodarstw niesamodzielnych.

Przy istnieniu powyższych sprzyjających okoliczności, gospodarstwa niesamodzielne posiadać będą szereg wartościowych cech, przeciwdziałać one bowiem będą oderwaniu się zupełnemu rzesz pracujących w zawodach nierolniczych od ziemi oraz proletaryzacji szerokich warstw ludności, a następnie są szczególnie odpowiednie dla kierunków produkcji roślinnej (warzywnictwo), czy też hodowlanej (hodowla nierogacizny, drobiu), wymagających bardzo dużo pracy.

12. Brak zapasów ziemi nie pozwala w rzeczywistości polskiej na zwiększenie ilości gospodarstw kmiecych.

13. Przeludnienie wsi nie pozwala na istnienie w Polsce znaczniejszej ilości folwarków. Wobec tego, że one właśnie mogą szczególnie dobrze obsłużyć tego rodzaju odcinki produkcji rolniczej, jak hodowla nasion, zwierząt zarodowych itd., nie jest wskazane przymusowe zmniejszenie ich ogólnej powierzchni poniżej granicy, którą one osiągną po wykonaniu ustawy z dnia 28 grudnia 1925 r.

14. Ażeby wprowadzić zdrową strukturę agrarną należy:

1) dążyć do zwiększenia ilości samodzielnych gospodarstw włościańskich;

2) dążyć do stworzenia warunków, przy których gospodarstwa niesamodzielne będą mogły przejawiać należycie tkwiące w nich cechy dodatnie;

3) dążyć do zniesienia szachownic, likwidacji służebności oraz zniesienia, ewentualnie uregulowania wspólnot gruntowych;

4) dążyć do uporządkowania stanu prawnego gospodarstw wiejskich.

15. Parcelacja sąsiedzka czy też osadnicza go-

spodarstw folwarcznych, powinna mieć przede wszystkim jako zadanie tworzenie nowych gospodarstw samodzielnych oraz upełnorolnienie niesamodzielnych. Rozmiar nowotworzonych gospodarstw powinien się wahać przeważnie w granicach 7—12 ha.

Należy równocześnie zwrócić należytą uwagę na parcelację robotniczą.

16. Akcja osadnicza na terenach pogranicznych winna być prowadzona zgodnie z wymogami obronności Państwa i żywotnych interesów Narodu Polskiego dla trwałego związania wszystkich terenów z Polską. Dlatego należy roztoczyć szczególnie troskliwą opiekę nad kolonistami na tych terenach.

17. Ustawa z dnia 28 grudnia 1925 r. winna być wykonana szybko, przy czym należyty nacisk winien być położony na wykorzystanie dóbr martwej ręki dla celów parcelacji. Szybkie bowiem wykonanie ustawy z jednej strony skłoni drobnego rolnika do skierowywania swych wysiłków wyłącznie na podnoszenie swego warsztatu, a nie na oczekiwanie zdobycia ziemi folwarcznej, a z drugiej strony zapewni pozostałym folwarkom normalne warunki do spokojnej pracy spełnieniem ciążących na nich zadań.

18. Władze państwowe powinny czuwać nad tym, by przy parcelacji, prywatnej uwzględnione były interesy państwowe oraz przeciwdziałać spekulacyjnej zwyżce cen gruntów parcelowanych.

19. Szczupły zapas ziemi do parcelacji należy zwiększyć między innymi przez zamianę za pomocą robót melioracyjnych nieużytków na grunta, nadające się pod uprawę.

20. Procesy parcelacyjne wymagają dla szybkiej i należytej realizacji taniego, dobrze zorganizowanego i rozprowadzonego w dostatecznej ilości kredytu.

21. Przez umożliwienie odpływu nadmiaru ludności zatrudnionej w rolnictwie do zajęć nierolniczych oraz przez intensyfikację produkcji należy dać możność przejawiania się dodatnich cech właściwym gospodarstwom niesamodzielnym.

Większe z tych gospodarstw mogą dzięki powyższym zmianom stać się gospodarstwami samodzielnymi, przez co uzyskujemy wzmocnienie tego szczególnie korzystnego typu gospodarstw rolnych.

22. Umożliwienie odpływu nadmiaru ludności wiejskiej wymaga uprzemysłowienia kraju i rozbudowy podstawowych urządzeń gospodarczych. Równocześnie proces ten będzie ułatwiony przez uruchomienie odpowiednich kredytów na spłaty rodzinne przy równoczesnym uporządkowaniu stanu hipotecznego drobnej własności ziemskiej. Również poważne znaczenie dla wspomnianego procesu posiada przygotowanie fachowe młodzieży wiejskiej, która nie ma pozostać na roli, do zajęć nierolniczych.

23. Intensyfikacja produkcji wymaga zarówno odpowiedniego stosunku cen rolniczych i przemysłowych, który by pozwolił na osiągnięcie opłacalności produkcji rolniczej, jak i podniesienia kultury rolniczej.

24. Szachownice powinny ulec szybszemu scaleniu aż do całkowitej ich likwidacji, przy ezym należy uruchomić tanie dostateczne kredyty, pozwalające na należyte przebudowanie scalanych warsztatów.

25. Służebności gruntowe powinny być częściowo podzielone, częściowo uregulowane, serwituty zlikwidowane, a hipoteki drobnych własności ziemskich wywołane i uporządkowane.

26. Należy zaktywizować działalność, zmierzającą do przebudowy struktury agrarnej, ponieważ wady tej struktury stanowią poważną przeszkodę do realizacji pilnych posunięć w kierunku uzdrowienia stosunków wiejskich.

27. Należy dążyć do utrwalenia korzystnych przekształceń w naszej strukturze agrarnej przez:

1) popieranie odpływu nadmiaru ludności żyjącej z rolnictwa do zajęć nierolniczych;

2) normy prawne (prawo spadkowe, ograniczenie ustawowe podzielności samowystarczalnych gospodarstw wiejskich);

3) intensyfikację produkcji rolniczej.

D. n.

DROGAMI PRACY POLSKIEJ

Tadeusz Nowacki

Budujemy szkoły

W skwarne południe wyjeżdżamy w trójkę starościńską Tatrą na objazd nowych budynków szkolnych. Jedzie inspektor samorządu powiatu stopnickiego, p. Michalski, podinspektor szkolny, p. Smarzyński i — oczywiście — autor. Trasa nasza wiedzie przez Chmielnik, Pierzchnicę, Szydłów, Kurozwęki, Oleśnicę, Pacanów, Solec, Stopnicę — z powrotem do Buska.

Auto mknie niezłą szosą, prowadzącą na Kielce, gdy moi towarzysze informują mnie o akcji. Do budowy szkół na terenie inspektoratu zabrano się intensywnie w roku 1934. Gdy przybył tu inspektor Wojciechowski, stan szkół przedstawiał się mizernie. Mieściły się one w wynajętych, walących się ruderach, brak było najprymitywniejszych urządzeń. Szczególnie dotkliwie dawał się odczuwać brak odpowiednich pieców, toteż w zimie temperatura w klasach, wypełnionych dziećmi, nie była wiele wyższa od temperatury otoczenia.

Otóż w ciągu czterech lat od roku 1934 rozpoczęto budowę 55 budynków szkolnych o 285 izbach lekcyjnych. Wykończono już z tego trzydzieści cztery budynki. W rozmiarach tej akcji można się zorientować, jeśli się zważy, że ispektorat buski posiada ogółem 265 szkół. A więc co piąta szkoła zyskała lub ma zyskać nowy budynek. Gotowych już jest 116 nowych izb lekcyjnych, a w tym roku szkolnym będzie już czynnych 159. I na tym nie koniec. Inspektorowie jeżdżą i starą metodą podjudzania w rywalizacji poszczególnych gromad wiejskich doprowadzają do zawiązania Komitetu Budowy Szkoły to tu, to tam... Plany są jeszcze duże, choć inspektor nie chce się chwalić przyszłością. Ma słuszność — a nuż się nie uda.

Na rynku w Chmielniku stoi wspaniały, wyszklony i wylakierowany autobus P. K. P., otoczony chmarą żydziąt w wieku od lat ośmiu do trzydziestu, w brudnych, skurzonych, strzępiastych chałatach, przypatrujących się pięknemu wozowi. Mój Boże, ileż to się zmieniło! Jeszcze dziewięć lat temu jechałem tu na wakacje „landem", krytą, brudną bryką, w której wnętrzu, zadając kłam wszelkim prawom fizycznym, mieściło się dwanaście czasem osób. Do dziś pamiętam jak całą, uciążliwą, kilkogodzinną podróż odbyłem pewnego razu, stojąc jedną nogą na nogach mej matki, drugą miałem ulokowaną na kolanach jakiejś grubej jejmości, a głową przy każdym wyboju tłukłem o dach tej karety. Że nie zrobiłem dziury w dachu, to tylko dlatego, że spoczywały tam przyciężkie kufry i walizy podróżnych.

Trochę za miastem wznosi się wielki, czerwony gmach budującej się szkoły. Przybiega do nas jakiś majster i oprowadza po dwupiętrowym, zupełnie nowoczesnym gmachu szkolnym. Łazimy wśród gruzów i desek, oglądając wnętrze, gdzie niedługo będą jasne, widne i duże sale szkolne (18 izb lekcyjnych), korytarze, szatnie, gabinety, łazienki. Oglądamy kotły do centralnego ogrzewania i doły kanalizacyjne. Inspektorowie rozmawiają o jakichś sprawach techniczno-finansowych, a ja przyglądam się domkom Chmielnika i stwierdzam, że nowa szkoła będzie największym tu budynkiem. Nic dziwnego, kosztowała już około 300.000 zł...

Zaraz za Chmielnikiem jedziemy przez długą wieś, typową ulicówkę, której dziwnie jednakowo, krzywo i nędznie stawiane chałupy przywodzą mi na myśl fragment z Prometidionu:

...więc mi smutno,
Że mazowieckie ani jedno płótno
Nie jest sztandarem sztuce, że ciosowy
W krakowskiem kamień zapomniał rozmowy,
Że wszystkie chaty chłopskie krzywe...

Równocześnie przychodzą mi na myśl straszne zabudowania „Abisynii" w Sosnowcu, baraki Gdyni i potworne w swej brzydocie ceglane, podmiejskie domki Łodzi. Komunikuję o tych nastrojach swym towarzyszom. Inspektorowie przytakują mi, ale dodają, że teraz to się poprawia. Urzędowy architekt „wypożyczony", czy też wydelegowany z województwa kieleckiego, jest podobno „zawalony" robotą. Budownictwo szkolne też przyczynia się do podniesienia dbałości o wygląd osiedli. Podają mi ministerialne plany budynków szkolnych. Wygląda to rzeczywiście ładnie i pomysłowo. Podobno chłopi godzinami kłócą się jaki plan wybrać i już w budowie domów ludowych trafiają się naśladownictwa budynków szkolnych. Chata Macieja i Bartłomieja również nabiera „toalety", nie tracąc podobno przytem nic z regionalnego charakteru.

Pierzchnica, do której teraz jedziemy, buduje właśnie według planów ministerialnych. Chwilowo są to mury parteru (ma być jeszcze piętro), ale zapowiada się ładnie. Zwiedzamy budynek w towarzystwie nadleśniczego inż. Grajewskiego, którego obecni tybulcy nabierają najwyraźniej na subsydiowanie w tej lub innej formie jakiejś części robót, w czym pomagają im moi towarzysze. Inżynier zaś powoli, ale zgadza się na wszystko. Szkoła ta kosztować będzie około 70.000 zł. — według zapewnień inż. Grajewskiego fundamenty ma „jak pod kościół" i mieścić będzie 8 izb lekcyjnych.

W dalszej drodze dowiaduję się, że szkoła pierzchnicka jest budowana z inicjatywy społecznej i dotąd żaden urząd nie przyszedł ludności z pomocą. Inspektorat obiecał, że dostaną dopiero „na dach". Główną sprężyną wszystkiego jest właśnie inżynier Grajewski, który stara się bardzo o polepszenie techniczne stanu wsi i porobił już cały szereg pożytecznych urządzeń. Niech mu się za to dobrze nosi złoty krzyż zasługi, o który poszedł wniosek: — za pracę społeczną. Ponieważ zaś „lasy" wysłały dlań ten sam wniosek za pracę fachową — więc chyba nosił się będzie.

Inspektor Michalski opowiada à propos krzyżów zasługi o rolniku, Janie Górniczu, ze wsi pobliskiej Klempie Wielkie, który otrzymał bronzowy krzyż zasługi. Górnicz ujął się ambicją: — Jak dają to niech wiedzą za co, — i postanowił wybudować dom ludowy. Dał na to gromadzie 60 zł., a pożyczył 600. Inspektor spytał go się, czy się spodziewa zwrotu tej sumy. „Nie zwrócą, to nie zwrócą, a dom ludowy musi być..."

Widocznie ziemia kielecka posiada zdolność do wydawania takich ludzi. Przypominamy sobie jeszcze również kawalera krzyża zasługi, nauczyciela z Tempoczowa, p. Duwadzińskiego. Kiedy w maju zwiedzała tu szkoły wycieczka uniwersytecka, inspektor zawiózł nas do zwykłej, ubogiej szkoły wiejskiej w Tempoczowie. Właściwie nie jest to już szkoła zwykła. Tempoczów stał się miejscem pielgrzymek szkolnego narodu, który podziwia, co może zrobić jeden uparty i mądry nauczyciel wiejski. Ta szkoła na I stopniu organizacyjnym daje swym wychowankom tyle nauki, że mogłaby się nie powstydzić najlepiej nawet wyposażona w pomoce i urządzenia szkoła. Swój poziom zawdzięcza tylko nauczycielowi. Pamiętam jak panny i kawalerowie, kończący pedagogikę na uniwersytecie, słuchali z rozdziawionymi dzióbkami, jak ten człowiek prowadził lekcję i jakie ma wyniki. Majster! Ten polski Pestalozzi, (może to porównanie jest trochę zuchwałe, ale usprawiedliwione wrażeniem) jest najlepszym dowodem, że o dobroci szkoły stanowi osobowość i praca nauczyciela.

Następnym punktem naszego objazdu jest Szydłów. W Szydłowie każdy kamień wieje historią. Wjeżdżamy przez jedną z najpiękniejszych i najstarszych w Polsce bramę z dawnego zamczyska Kazimierza Wielkiego. Szkoła szydłowska bardzo ładny schludny budynek, (8 izb szkolnych prócz pomieszczeń pomocniczych), jeszcze nie obrzucony cementem, stoi wpośród ruin zamku, który pono król Kazimierz dla Esterki — kochanicy wybudował. Zachowały się jeszcze wały i mur zamkowy, „skarbczyk" i mury sali rycerskiej. W skarbczyku— objaśnia nas kierownik szkoły p. Kaczorowski — Esterka kiedyś klejnoty, manele i kolce złote chowała, dziś służy do przechowywania przez zimę kartofli.

Tak to współczesność wykorzystuje pamiątki historii. Po ogarnięciu z murów rozległego widoku niziny kieleckiej ruszamy na zwiedzanie starej synagogi, którą Esterka jeszcze wystawiła. Synagoga jest zachowana doskonale i wywiera wrażenie czystością swego renesansowego stylu. Jej starożytność nie jest popsuta żadnymi poprawkami. Z synagogi, mijając po drodze nędzny szczątek dawnej bramy opatowskiej, idziemy do bardzo ładnego, niestety, zamkniętego kościołka. Według informacji kierownika wystawił go Kazimierz na przeprosiny z Bogiem, po utopieniu w Wiśle biskupowego posła, księdza Boryczki, który go upominał, aby nie prowadził rozwiązłego życia.

Czeka nas jeszcze, wyrażając się po małopolsku, „szmatławe" piwo w restauracji „u Pacyny", gdzie podobno mój dziadek jeszcze pijał. Z tkliwością przypatruję się miejscu pod zegarem, którego sława z racji wypitego tu alkoholu przeszła aż do mnie w tradycji rodzinnej.

W Kurozwękach szkoła ma się dopiero budować. Zajeżdżamy przed ładnie utrzymany pałacyk, położony w dużym parku. Otaczają go stare fosy — tylko zamiast dawnego zwodzonego mostu przerzucone są lekkie, arkadowe mostki, prowadzące na podjazd. Pałacyk ten — to jedna z nielicznych w tych okolicach rezydencji, przerobionych z dawnych zamków i do dziś zamieszkałych. Wybudowali go Różyce Kurozwęccy, po nich dzierżyli Lanckorońscy, przerobili w XVIII wieku Sołtykowie. W pałacyku znajduje się bardzo ładny dziedziniec wewnętrzny, zdobny w arkady i krużganki. W roku 1787 gościł tutaj król Stanisław August, (ten z Wołczyna!), dla którego nawet specjalnie dwa pokoje wybudowano...

Właściciela majątku, p. Popiela, niema w domu. Wyjaśniamy swą sprawę jego matce. Inspektor mówi, jakie punkty nadają się pod budowę szkoły. Oczywiście ukrytym tu pragnieniem jest uzyskanie darowizny gruntu pod budynek, o czym zdaje się p. Popielowa wie i co przyjmuje za rzecz naturalną.

Z Kurozwęk drogą polną jedziemy do Oleśnicy. Zostawiamy z boku na północnym wschodzie Staszów, prawie się oń ocierając. Drogi i pola, którymi jedziemy, cały krajobraz, wywiera jakieś niezwykle swojskie wrażenie. Spędziłem parę wakacji w kielecczyźnie, ale tu nie byłem — to nie są wspomnienia. A jednak coś jest bliskiego. Wreszcie odkrywam. Widziałem to wszystko. Widziałem, czytając „Wierną rzekę", „Popioły", „Walkę z szatanem". Znajomy smak opisów łączy się z zapachem ziemi. „Swojskość" staje się zrozumiałą. Duch Stefana Żeromskiego unosi się nad okolicą. To przecież umiłowane przez Niego jądro polszczyzny. Tu rozciągały się wspominane w „Dumie o Hetmanie" posiadłości Zborowskiego. Tamta rzeka w Kurozwękach, to przecież „wierna rzeka". A siniejące w dali góry Świętokrzyskie też stare znajome. Na lewo, na północ, ciągną się gdzieś pola powstańczych pobojowisk. Tu prowadzono najzaciętszą partyzantkę. Na północ stąd, za górami Świętokrzyskimi, leży Bodzentyn.

Droga nasza prowadzi teraz obok posiadłości radziwiłłowskich. Na Sichowie siedzi Krzysztof, na Rytwianach — Artur. Na Pacanowie był Maciej, ale już ziemia jest rozparcelowana, została mu jeszcze Słupia. Inspektor pokazuje mi olbrzymi sad, jaki książe pan rozkazał zasadzić, aby uchronić się przed parcelacją. Pytam jak się zachowują wielcy właściciele w stosunku do akcji społecznej, ale zamiast odpowiedzi otrzymuję dużo mówiące machnięcie ręką.

Przez długi odcinek drogi widzimy linię wysokiego napięcia, biegnącą bądź po lewej, bądź po prawej stronie drogi, przez pola i lasy. Idzie ona z Mościc do Radomia. Chociaż powiat stopnicki należy do C. O. P. rozmach okręgu przemysłowego jeszcze tu nie dotarł w swym pełnym natężeniu. Podobno tylko książęce cegielnie pracują pełną parą dla C. O. P., a i w powiecie pińczowskim kilka cegielni pracuje na zamówienia okręgu przemysłowego.

Jesteśmy w Oleśnicy. Kończy się tutaj budowa piętrowego, ładnego budynku, również według planów ministerialnych. I tutaj budowa idzie bez żadnych subwencyj. Oleśnica — osada murarzy — daje fachowe kierownictwo i ludziska zbierają pieniądze tylko na materiał. Leży im na sercu tu nowa szkoła, gdyż bardzo się przejmują jedynym jej błędem, złym ustawieniem budynku. Front jest zwrócony na południe i w miesiącach wiosennych dzieciaki będą topiły się z gorąca. Inspektor przyrzeka pomoc finansową na ostateczne zakończenie i jedziemy dalej, po rzuceniu okiem na starą figurę ariańską, tkwiącą na ulicy. Otrzymuję już w drodze dodatkowe informacje, że budynek będzie zawierał 8 izb szkolnych. Budowa trwa trzeci rok i kosztowała już około 60.000 zł. Idzie wolno, ale nic dziwnego, gdyż okolica jest uboga.

Ponieważ jest już ciemno, przejeżdżamy Pacanów, tam „gdzie kozy kują" i jedziemy do Solca. Na południowy wschód od nas, niedaleko, leżą pola walk legionowych, opisane przez Wielkiego Marszałka w „Moich pierwszych bojach". Właściwie mieliśmy w programie i Korczyn nad Wisłą, wyjechaliśmy jednak zapóźno i trzeba było trasę skrócić.

W Solcu przyjmują nas członkowie Komitetu Budowy Szkoły, lekarz kolejowy p. Anyszek i mgr. Różniakowski. Narzekają na słabą frekwencję kuracjuszy. Jest to dość dziwne, gdyż podobno wszystkie w kraju uzdrowiska miały bardzo dobry sezon, a leżące o 25 km. Busko z identycznymi jakościowo, choć słabszymi, wodami jest pełne.

Pociemku już oglądamy szkołę. Jest bardzo oryginalna w rozplanowaniu, budowana według projektu architekta z Warszawy. Jej osobliwością udatną i pożyteczną będzie duża weranda. Roboty chwilowo są przerwane z powodu braku funduszów. W fundamentach znajduje się woda, prawdopodobnie z wczorajszego deszczu. Nazajutrz ma straż pożarna wodę wypompować, aby zapobiec psuciu się fundamentów i nasiąkaniu murów.

Ciemno już zupełnie, gdy mkniemy szosą do Stopnicy. Nad nami jest niebo kieleckie, gwiaździste jak chyba nad żadną częścią Polski. Z boku szosy migają drzewa.

Reasumuję wyniki objazdu. Pomijając ogromny, budujący się gmach szkolny w Busku, obliczony na 21 izb lekcyjnych (poza gabinetami pomocy nauk. i t. d.), widziałem kilka budujących się szkół. Budują się one przeważnie wysiłkiem miejscowej ludności, umiejętnie tylko rozbudzonym i podsycanym przez inspektorat. Tutaj w tym najbardziej rdzennym kawałku Polski szkolnictwo stało na opłakanym poziomie. Teraz wieś Żeromskiego i Dygasińskiego pokazuje swoje wartości społeczne. Wyłaniają się ludzie pełni ofiarności, jak dr. Starkiewicz z Górki, inżynier Grajewski, nauczyciel z Tempoczowa, Jan Górnicz — i znajdują rezonans dla swych poczynań. Tu widzi się, co może zrobić energiczna i zdolna jednostka. Gdyby nasza domorośle politykująca młodzież wzięła się do takiej realnej pracy — ileżby można dokonać!

Dotychczas tylko prawie wyłącznie nauczycielstwo, rozsiane po Rzeczypospolitej, spełnia wytrwale społeczną misję podnoszenia poziomu życia naszego chłopa, osiągając nieraz bardzo piękne wyniki. Jeszcze jeden mały przykład. Kto zna kielecczyznę, wie, że śpiew ludowy tutaj nie odznacza się specjalną melodyjnością i ja sam gotów byłem przypuszczać, że poza Małopolską wschodnią, tylko Kujawiacy są naprawdę muzycznie uzdolnieni — tymczasem, objeżdżając w maju obwód szkolny buski z wycieczką, słyszałem trzy doskonałe chóry dziecięce: jeden w historycznej Wiślicy, jeden we wspomnianym Tempoczowie i jeden na Górce w sanatorium dziecięcym. Na ten ostatni składały się zresztą dzieci z całej Polski.

Trzeba tylko wiele uprawy, mozołu i pracy na wsi, ale zato plony i owoce nie dadzą na siebie czekać. Szczególnie, że w dziedzinie materialnego wyposażenia, zarówno w nieruchomościach jak urządzeniach i pomocach naukowych, szkolnictwo nasze posiada duże braki.

Solidną sieć budynków szkolnych o właściwych rozmiarach posiadają tylko województwa zachodnie. Izb lekcyjnych w budynkach szkolnych o powierzchni ponad 50 m. posiadają one, według Małego Rocznika Statyst., 8,834, t. j. więcej niż jedną trzecią wszystkich izb lekcyjnych w budynkach szkolnych o tych wymiarach w Polsce. Na jedną izbę lekcyjną w Polsce przypada przeciętnie 64,9 uczniów. Jaka atmosfera musi panować w izbie, gdzie przebywa czasem i do 100 uczniów, izbie nieprzystosowanej w ogóle do mieszczenia w sobie większej ilości osób!

Jeszcze 23.210 izb lekcyjnych w Polsce mieści się w budynkach wynajętych i najczęściej zupełnie do tego celu nieprzystosowanych: w mieście — w czynszowych kamienicach, na wsi — w zwyczajnych chałupach. Inicjatywa państwowa nie wypełni tego braku. Naskutek rozwoju szkolnictwa od roku 1926 do 1937 przybyło jeszcze 507 izb lekcyjnych w budynkach wynajętych, a ile dzieci pozostaje w ostatnich latach poza szkołą?! Nie zdoła wypełnić tej luki również Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych, mimo dość pokaźnej liczby wybudowanych w roku zeszłym — 1309 — izb lekcyjnych. Nie wypełni zwłaszcza, jeśli naprawdę wszystkie dzieci znajdą się w szkole. Dlatego podnieść należy umiejętność pobudzenia ludności do pracy w tym kierunku, jaką wykazał inspektorat buski. Istnieje głęboko uzasadniona konieczność dania dobrych materialnych podstaw pracy szkolnej, aby wielkie i niesłychanie dla społeczeństwa ważne zadanie wychowania młodego pokolenia dało wyniki, odpowiadające pracy nauczycielstwa. Jak ciężka i niewdzięczna jest ta praca, gdy nieraz nauczyciel musi kupować z własnej pensji dzieciom ołówki i zeszyty — wiedzą chyba wszyscy. Wiedzą również, że przeciętnie na jednego nauczyciela przypada 61,7 uczniów, gdy powinno przypadać około 30, jeśli nauka ma się odbywać z prawdziwym pożytkiem i bez szkody dla zdrowia nauczyciela.

Rozpoczyna się właśnie nowy rok szkolny i dobrze jest uświadomić sobie potrzeby i braki szkolnictwa, i doniosłość pracy nauczyciela w chwili, kiedy się ona poczyna. Nowa Polska wykuwa się nie tylko w Gdyni i C. O. P., ale również w tysiącach izb szkolnych, gdzie szara armia nauczycielska z istotnym nieraz zaparciem się siebie uczy kochać i czcić Polskę i dla niej pracować.

Na marginesie

PLOTKI

Charakterystyczną cechą życia politycznego ostatnich tygodni jest ilość i jakość plotek, krążących dookoła jednego tematu: tworzenia różnorodnych porozumień i koalicji taktyczno-wyborczych.

Nie będziemy zajmowali się zagadnieniem realności, czy kłamliwości poszczególnych wersji. Jedno jest uderzające. Jak małą rolę w tym wszystkim odgrywać ma jeden czynnik: czynnik istotnego sposobu myślenia i wierzenia poszczególnych elementów naszego życia zbiorowego.

Gdyby o naszym życiu publicznym ustalać sądy według rodzaju przeciętnej kaczki dziennikarskiej, to należało by dojść do wniosku, że w Polsce nikt w nic nie wierzy, nikt nie ma nawet najogólniej wytkniętej linii własnych poglądów, każdy skłonny jest do zupełnego zaprzeczenia w praktycznym działaniu temu, co głosi w teorii, jako wyraz swych wierzeń i przekonań. Socjalista każdej chwili gotów jest na jawny czy tajny pakt z Lewiatanem, Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego z konserwatystami, organizacje katolickie z masonerią. Słowem, trawestując słowa znanej niegdyś piosenki kabaretowej: „Wszystko, wszystko jest mandatów grą!".

Czy tak jest w istocie? Nie jesteśmy entuzjastami ani form, ani treści naszego życia politycznego. Wydaje nam się jednak, że tego rodzaju odbicie tego życia, jakie otrzymujemy w krzywym zwierciadle plotki dziennikarskiej, jest karykaturą, mocno wypaczającą nawet i ten nienajlepszy zapewne, lecz znowu nie tak patologiczny obraz, jakim jest nasza rzeczywistość polityczna.

BREDNIE

Jednym z szczególnie doniosłych zagadnień naszej przyszłości jest utrzymanie stosunkowo wysokiego przyrostu naturalnego ludności. Sprawa ta jest od dłuższego czasu przedmiotem żywej dyskusji. Naturalnym bodźcem zainteresowania jest w danym wypadku ogłaszanie przez Główny Urząd Statystyczny liczb i wskaźników, wykazujących stałe zmniejszanie się zarówno odsetka urodzin, jak i przyrostu naturalnego.

W ocenach prasowych musi razić ogromny prymitywizm ocen istotnego charakteru omawianego zjawiska. Nie można wysnuwać wniosków z liczb i faktów, których się nie powiąże w naturalny łańcuch przyczyn i skutków. Uderzając na alarm w stosunku do danych G.U.S. odnośnie ruchu ludności w latach ostatnich w Polsce, nie można czynić tego nadmiernie jednostronnie, to jest nie można zapominać o tym, że liczby, a tym samym i wskaźniki, zarówno urodzin, jak przyrostu naturalnego, muszą ulegać nie tylko tendencjom stałym, lecz i wahaniom okresowym, wynikającym z przyczyn pozornie odległych. Tak więc nie można zapominać, że obecnie znajdujemy się w okresie naturalnej depresji, wynikającej z osłabienia płodności i zwiększenia śmiertelności dzieci w latach wojennych, co dzisiaj — po latach 24 od daty wybuchu wojny — musi odbić się zarówno na ilości zawieranych małżeństw, jak też na ilości, a więc i na odsetku zarówno urodzin, jak i przyrostu naturalnego *). Podobnie nie można oderwać zarówno samych liczb, jak i wniosków z nich wysnuwanych, od zagadnienia struktury wieku ludności. Tymczasem w publicystyce naszej o sprawach tych dyskutuje się z sielsko-anielską naiwnością. Porównuje się liczby oderwane całkowicie od ich naturalnego podłoża, z czego wypływają wnioski nieraz nawet słuszne w swej istocie, lecz niezmiernie wyolbrzymione w sposobie naświetlenia. W rezultacie, jak w wielu innych wypadkach, rzeczywistość zostaje wypaczona i zniekształcona, czego nie można uważać za rzecz dobrą i zdrową.

Czasem jest to tylko zagadnienie metody naukowej i publicystycznej, niekiedy coś więcej.

Przed paru miesiącami w tygodniku „Prosto z mostu" pojawił się artykuł p. Walentego Majdańskiego pt. „Oszczędzanie na... dzieciach". Artykuł nie był poważny, lecz dotyczył sprawy poważnej, toteż wywołał dosyć duże zainteresowanie. Zachęcony tym p. Majdański w ostatnim (37) numerze tegoż pisma zamieszcza drugi artykuł, poświęcony tejże materii pt. „Bez oręża".

Artykuł ten, podobnie jak pierwszy, odznacza się dziwaczną, nieprzyjemną i pretensjonalną formą, utrudniającą zrozumienie poszczególnych fragmentów myśli Autora **). Niemniej jednak myśl zasadnicza zdaje się występować jasno. Autor jest przerażony ustawą nowelizującą dekret o wykonywaniu praktyki lekarskiej. Przeraża go sama myśl, że na terenie wsi pojawi się lekarz. Dlaczego? — Oto dlatego, że skutkiem pojawienia się lekarza na wsi będzie, zdaniem Autora, masowy „ubój dzieci". Lekarz bowiem nie będzie miał na wsi z czego żyć i musi pójść „po linii najmniejszego oporu", czyli zejść na „operacje niedonoszonych niemowląt". Autor nie oszczędza nam nawet bardzo dokładnego obrazu i wyliczeń, jak stan ten będzie wyglądał w przyszłości: „Cena się dziś waha trzydzieści do pięćdziesięciu złotych „od sztuki", przeciętna tedy 40 zł., a $30 \times 40 = 1200$. Niezła sumka, gdyby tak codziennie zarżnąć jedno chłopskie dziecko. Wówczas pewność trwania na... posterunku społecznym zapewniona i można się jakoś przez te dwa lata przymusowej praktyki urządzić, choćby się nawet pozostałe usługi czyniło za darmo".

Z publicystyką tego rodzaju trudno jest polemizować. Lecz przecież jest to artykuł wstępny pisma, które chce reprezentować „istotnie" narodową myśl i kulturę. Toteż trudno jest traktować tego rodzaju artykuł jako tylko publicystyczny wybryk jednostki.

W metodzie tego rodzaju myślenia i pisania uderzają dwa momenty. Dobieranie wprost potwornie przesadnych barw dla odmalowania stanu moralnego dzisiejszej młodej inteligencji polskiej, z której mają się rekrutować ci przyszli lekarze wiejscy, stawiający praktyczny cel swej działalności społecznej w postaci tezy „gdyby tak codziennie zarżnąć jedno chłopskie dziecko". Drugie — to jakiś nieprawdopodobny prymitywizm w traktowaniu zagadnień społecznych wsi.

Nie będziemy dyskutowali z p. Majdańskim. Jednakże redakcji „Prosto z mostu" chcielibyśmy zwrócić uwagę na znaczenie z punktu widzenia naszej siły narodowo-państwowej innej kategorii liczb, dotyczących dzisiejszej śmiertelności dzieci na wsi. Przypomnimy tu obliczenia cytowanego już wyżej artykułu dr. Ormickiego w naszym piśmie (Nr 21/22), z których wynika, że w ciągu lat 1919—1936 śmiertelność dzieci w wieku do 1 roku zabrała Polsce łącznie 2.550.000 jednostek, czyli poważnie więcej, niżeli wyniosły straty wojenne Niemiec w czasie całej Wojny Światowej.

Liczby te są odbiciem bardzo istotnej strony życia naszej wsi. Są one bardzo realną rzeczywistością. Czy istotnie najlepiej zamknąć na tę rzeczywistość oczy, zaniechać z nią walki, wychodząc z założenia, że posłany na wieś lekarz, to kryminalista, który postawi sobie za zadanie życiowe czynienie najintensywniejszego użytku ze swych „drapieżnych, chciwych czterdziestozłotowych datków rąk" dla masowego „uboju dzieci"?

Czytając tego rodzaju artykuły, trudno się oprzeć wrażeniu, że wśród niektórych kierunków naszej myśli politycznej coraz mocniej i konsekwentniej utrwala się, jako zasada naczelna, przekonanie, niegdyś popularne na terenie Rosji, że „całe zło płynie z rozumu". Lecz jeśli tak — to trzeba zasadę tę jasno wypisać na odpowiednich sztandarach.

---

*) Patrz, między innymi, wyczerpujące omówienie tej sprawy w artykule dr. Wiktora Ormickiego p. t. „Naturalny ruch ludności w Polsce", Nr. 19/20 i 21/22 naszego pisma.

**) By nie być gołosłownym przytoczymy następujący fragment:

„Gdy teraz na kresach kulturalna „pani", czyli Polka, jedzie „do miasta", to ludność ruska wie, co to znaczy. Oto jedzie wypruć swe małe. Czyli spieszy do dobroczyńcy, czyli — do lekarza. Co prawda brzydko mówić „kresy", toteż terminu tego w jego utartym znaczeniu tu już dalej używać nie będziemy, natomiast kresami chrzcimy niniejszym — nasz przyrost naturalny na wschodzie i w ogóle, bo termin ów i przede wszystkim i nade wszystko ze zjawiskiem wymierania Polaków w Polsce się kojarzy. A więc — kresy arcydostojeństwa matki-Polki: dawania Narodowi każdego dziecka..." itp.

NOTATNIK ZAGRANICZNY

U. S. A.—Niemcy—Francja—Węgry—Mała Ententa

(z. d.) Notujemy znowu przemówienie prezydenta Roosevelta, w duchu swym skierowane przeciwko Niemcom, Japonii i Włochom oraz metodom „dynamicznym", stosowanym dziś w polityce międzynarodowej, skierowane również przeciw doktrynom izolacyjnym w U. S. A. Przemówienie to, wygłoszone w Kingston, znamienne jest nie tyle przez swą treść, ile przez swe znaczenie na tle opinii amerykańskiej. Słynne przemówienie Roosevelta w Chicago mniej więcej przed rokiem, w którym prezydent poraz pierwszy opowiedział się przeciwko polityce izolacji U. S. A. na wypadek wojny światowej, wywołało powódź protestów w szerokich kołach społecznych. Natomiast ostatnie wypowiedzenia Roosevelta żadnych sprzeciwów ze strony opinii publicznej nie wywołały. Opinia amerykańska rozwija się więc zdecydowanie w kierunku antyizolacjonistycznym.

Korespondent agencji Havas w Waszyngtonie podaje, że osoba kompetentna komentowała sytuację po przemówieniu prezydenta w następujących słowach: doktryna Monroego i przywiązanie do tradycyjnych zasad izolacyjnych nie pozwalają rządowi Stanów Zjednoczonych zaciągać formalnych zobowiązań w stosunku do demokracyj zachodnio-europejskich, aczkolwiek przemówienia prezydenta i sekretarza stanu Corder Hulla nie mogą pozostawić żadnych wątpliwości co do tendencyj Waszyngtonu.

Zwraca się szczególnie uwagę na to, że oświadczenie Roosevelta o obowiązkach Stanów w stosunku do Kanady na wypadek, gdyby została ona zaatakowana, zawiązuje jeszcze jeden węzeł wspólnych interesów U. S. A. i Wielkiej Brytanii.

*

Przemówienie Roosevelta nie pozostawało bez związku z próbną mobilizacją niemiecką i zapewne dlatego właśnie wywołało tak wielkie i nie tajone niezadowolenie w Niemczech. Dość wspomnieć, że prasa posuwa się do oskarżania prezydenta o „podbużanie do wojny".

Nie tylko zresztą komentarze do przemówienia Roosevelta, lecz i wszystko inne zdradza krańcowe zdenerwowanie, panujące w Niemczech. Masowa sprzedaż akcyj na giełdzie, choć może mieć pewne uzasadnienie gospodarcze, jest niewątpliwie objawem podniecenia opinii publicznej. Przeprowadzenie próbnej mobilizacji w skali, w której stanowi ona nadzwyczaj poważną groźbę dla sąsiadów jest najlepszym dowodem, że przywódcy Trzeciej Rzeszy chwytają się w rozgrywce międzynarodowej środków ostatecznych.

Na tle reakcji, jaką mobilizacja wywołała poza granicami Niemiec, ujawnia się fakt o dużym znaczeniu: niemiecka metoda straszenia wojną sprawia coraz to mniejsze wrażenie. Niemieckie zarządzenia wojskowe nie wywołały żadnej reakcji politycznej lub wojskowej w państwach, które mogłyby się poczuć zagrożonymi. Jako efekt teatralny w polityce międzynarodowej, mobilizacja armii Trzeciej Rzeszy, stawiająca pod bronią około 1.500.000 mężczyzn i powołująca na stanowiska obronne całą pozostałą ludność cywilną, spaliła na panewce. Dla porównania przypomnijmy sobie gorączkowe posunięcia dyplomatyczne po przystąpieniu Włoch do antykominternowskiego paktu niemiecko - japońskiego, lub przed wizytą Mussoliniego w Berlinie. Dziś niemiecka demonstracja przyjmowana jest z wielkim spokojem.

W związku z rozmiarami próbnej mobilizacji można snuć przypuszczenia na temat jej efektu wewnątrz Niemiec. Tu decydujący będzie fakt, że armia niemiecka wystawiona została kosztem „wydrenowania" gospodarki narodowej z zasobów nagromadzonych w rezultacie wieloletniej pracy. Armia opanowała, dzięki swej potędze, Austrię bez wystrzału i bez kontrakcji ze strony Anglii i Francji. To jej dzieło polityczne mogłoby już samo przez się uzasadnić w oczach narodu straty gospodarcze, poniesione w wydatkach na gigantyczne zbrojenia. Lecz naród wymagał od armii po Anschlussie jeszcze zdobycia Sudetów. Stosunek psychologiczny narodu do armii wymaga, aby armia rozwiązała zagadnienie sudeckie, a tymczasem, po stanowisku, zajętym 21 maja przez Wielką Brytanię, sprawa sudecka znalazła się w rękach mediatora angielskiego. Mediacja ta skończy się zapewne wielkimi ustępstwami konstytucyjnymi rządu praskiego na rzecz Niemców sudeckich, czyli na rzecz Trzeciej Rzeszy. Ustępstwa będą oczywiście rezultatem siły militarnej Rzeszy. Otóż mobilizacja sprawi, że Michael lub Hans, podobnie jak po Anschlussie, dobitnie i naocznie się przekonają, po co od dwu lat każe się im jeść chleb suchy i bez masła.

*

Mobilizacja niemiecka wywołuje pewne smutne refleksje porównawcze. W Niemczech — naród, dla wielkości odmawia sobie spełnienia wielu najelementarniejszych potrzeb. We Francji — premier woła „pracujemy zamało" i to wołanie powoduje w konsekwencji — ustąpienie dwóch ministrów, jako manifestację przeciw premierowi, który pragnąłby zmusić naród do wydajniejszej pracy dla obrony kraju.

Ale jeszcze jedno smutne porównanie. W obliczu zagadnienia sudeckiego, które dla Niemiec i Francji jest jednakowo problematem przyszłego znaczenia w Europie Południowo-Wschodniej, — w Niemczech odbywa się mobilizacja totalna, to znaczy maksymalne skupienie sił we wszystkich dziedzinach. We Francji natomiast odbywa się mobilizacja sił opozycji, która, w ideologicznym, raczej doktrynerskim zaślepieniu przygotowuje generalną ofensywę przeciwko rządowi, który zajęty jest wzmożeniem sił zbrojnych kraju i wzmacnianiem jego pozycji międzynarodowej w chwili bezwątpienia przełomowej, mogącej zaważyć na losach pokoleń. To, że dzięki akcji szeregu najbardziej odpowiedzialnych osobistości politycznych w łonie opozycji udało się usunąć niebezpieczeństwo kryzysu gabinetowego i ogólno - politycznego, nie zmienia oczywiście faktu, że Francja stale jest zagrożona nieprzewidzianymi konfliktami na tle ideologicznym lub partyjnym.

Można dużo mówić o tem, że Francja „znajduje siebie" w chwili wielkiego niebezpieczeństwa, można powoływać się na znane aforyzmy Richeuliego i innych znakomitych Francuzów. Jednak nie trzeba przy tym zapominać, że w stuleciach minionych losy wojny ważyły się w dniach wojny, natomiast dziś losy wojny ważą się w połowie w okresie przedwojennym, a odważnikiem jest dochód narodowy i to, jaką jego część naród poświęca na zbrojenia. Otóż premier i minister obrony narodowej Deladier zmuszony był cytować piekąco wymowne cyfry: w roku 1914 dochód narodowy Francji wynosił 38 miliardów franków złotych, w roku 1937 wyniósł ledwie 22 miliardy. Prawda, że obecnie większa niż w roku 1914 część dochodu idzie na zbrojenia; nie należy więc z tych cyfr wysnuwać wniosku, że Francja jest równie słaba militarnie jak w przededniu wojny światowej. Lecz zapytamy, dlaczego Francja nie chce więcej pracować i tym samym wzmóc potencjał siły zbrojnej kraju w takiej mierze, że nie tylko będzie mogła czuć się bezpieczna, ale nawet narzucać swą wolę mocarstwowym rywalom, zamiast ustępować bez przerwy przed ich dynamizmem politycznym?

Dotykamy tu niezmiernie ważnego zagadnienia. Społeczeństwo francuskie całe daje wyraz głębokiemu odczuciu uszczuplenia międzynarodowego znaczenia Francji. Z drugiej jednak strony opanowane jest w przeważającej większości entuzjazmem z racji wielu osiągniętych zdobyczy socjalnych. Osiągnięcia socjalne odbywały się nie tylko, jak zbrojenia w Niemczech, kosztem zasobów gospodarczych, kosztem kapitału narodowego, lecz i za cenę strat narodowych na terenie polityki międzynarodowej. Problemem jest, czy przeciwieństwo: w Niemczech — poświęcanie standartu życiowego na rzecz standartu mocarstwowego, we Francji — poświęcanie standartu mocarstwowego dla standartu życiowego, będzie trwało nadal, czy wynika ona z trwałych elementów współczesnej psychiki większości Francuzów? Gdyby tak miało być, to sojusznicy Francji mieliby tylko smutne wnioski do wysnucia.

*

Problem ten rzutuje się nie tylko na płaszczyźnie sojuszy Francji. Odbija się on również na polityce szeregu małych państw, które przez swą militarną słabość nie mogą prowadzić własnej polityki, tylko prowadzą ją w funkcji polityki wielkich mocarstw. Do tych państw należą m. innymi Węgry.

Z okazji wizyty regenta Horthy'ego w Berlinie prasa niemiecka nie szczędziła w zgodnym chórze wysiłków, aby podróż regenta przedstawić w świetle w którym okazałoby się, że Węgry związane są całkowicie z osią Berlin - Rzym. Celem tych niemieckich interpretacyj, komentarzy i sugestyj prasowych było wytworzenie w kraju i poza jego granicami przekonania, że Rzesza jest tak silnym czynnikiem rewizjonistycznym, że każdy, kto ma takie zamierzenia „melduje się" w Berlinie. Z wizyty regenta czyni się w Berlinie w sensie propagandowym wszystko co można i czego — dodajmy — nie należałoby czynić, nie chcąc wchodzić w kolizję z wymaganiami taktu, — aby tylko sugerować niezachwianie silną pozycję Rzeszy w stosunku do zagrożonej poważnymi cięciami Czechosłowacji.

Usiłowania Rzeszy w stosunku do Węgier zostały poważnie zaszachowane przez wyniki konferencji Stałej Rady Małej Ententy, która obradowała w Bled równocześnie z pobytem Horthy'ego w Berlinie. Komunikaty, ogłoszone w Bled i w Budapeszcie, przyznające wielki postęp w rokowaniach między państwami Małej Ententy i Węgrami w sprawie mniejszości węgierskich i paktów wyrzeczenia się wojny, oraz uznanie przez Ententę suwerenności Węgier w zakresie zbrojeń, aczkolwiek nie oznaczają jeszcze definitywnej koncyliacji, świadczą, że Węgry po latach nadziei na Berlin i Rzym i ich dynamizm rewizjonistyczny weszły zdecydowanie na drogę pokojowego porozumienia. Jednocześne deklaracje w Bled i Budapeszcie kładą więc w każdym razie kreskę pod kombinacjami, jakie czyniono w Berlinie, opierając się na założeniu, że Węgry wespół z Niemcami pójdą z bronią w ręku na rozbiór Czechosłowacji.

W sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie Czechosłowacja, można również tłomaczyć sobie ewolucję stosunków Węgier z Małą Ententą nadzieją, że problem rewizji granic Węgier i Czechosłowacji rozwiąże się wcześniej lub później samoistnie, bez użycia siły. Jednak oparcie polityki na takim założeniu i tak dowodziłoby, że prędka i radykalna droga gwałtu nie wydaje się Węgrom bezpieczna. Tak więc czy inaczej widoczny jest zdecydowany spadek akcyj osi Berlin-Rzym na giełdzie węgierskiej. Spadek, który bezwątpienia spowodowany został niezwykle zdecydowanym wystąpieniem Anglii w konflikcie niemiecko-czeskim w maju b. r. Poprawa stosunków Węgier i Małej Ententy może być poczytana za dowód pewnego przełomu psychicznego. Przełom ten byłby bez porównania głębszy, gdyby stosunki wewnętrzne Francji były bardziej ustabilizowane.

O NAS U OBCYCH

Wał chłopski nad granicą polską

Sprawa przeprowadzenia na szeroką skalę akcji osadniczej nad granicą polską jest zagadnieniem, stanowiącym od paru lat przedmiot szczególnego zainteresowania i szczególnej troski rządów narodowo - socjalistycznych. Nie znaczy to wcale, by rządy Niemiec weimarskich sprawą tą się nie interesowały i by nie poświęcały jej dużej uwagi, inne było jednak wówczas podejście do tej sprawy i inne momenty decydowały o jej realizacji. Niemcy narodowo - socjalistyczne wyznaczają tymczasem działalności osadniczej na wschodzie kraju zadania jak najściślej związane z ideologicznymi przesłankami hitleryzmu, pragnącymi widzieć w Niemczech przedmurze cywilizacji zachodniej i przewidującymi z tego względu zabezpieczenie granic państwowych nie na wypadek ewentualnych działań wojennych, lecz już w okresie wcześniejszym, w czasie pokoju.

„Granice każdego kraju winny być zabezpieczone nie tylko na wypadek wojny" — oto kwintesencja wywodów, jakie na temat znaczenia i roli akcji osadniczej na wschodzie Rzeszy przyniósł *Berliner Tageblatt* w elaboracie poświęconym tej sprawie. Pismo wychodzi z założenia, że przeprowadzenie wielkiej akcji osadniczej na wschodzie Rzeszy dyktowane jest przede wszystkim potrzebami państwowymi i narodowymi, dla których nie obojętna jest sprawa postępującej depopulacji wschodnich kresów Rzeszy i idącego w parze z tym zjawiskiem osłabienia ich potencjału dynamicznego przy równoczesnym nacisku ludnościowym i gospodarczym na granicę od strony polskiej. Pismo przypomina tutaj, że odpływ elementu ludzkiego ze wschodu Rzeszy na zachód staje się zjawiskiem z dnia na dzień coraz to groźniejszym: ze Ślątka np. emigruje na zachód kraju dziennie 40 do 50 osób, a nie lepiej przedstawia się sprawa na Pograniczu i na Pomorzu Pruskim! Powstrzymanie tej fali ludzkiej od opuszczenia dotychczasowych miejsc zamieszkania jest — zdaniem pisma — możliwe jedynie przez przeprowadzenie odpowiedniej akcji osiedleńczej nad granicą polską, która zagwarantuje nie tylko utrzymanie siły liczebnej elementu ludzkiego na tak ważnym z punktu widzenia niemieckich interesów państwowych i narodowych obszarze kraju, ale równocześnie przez odpowiedni dobór i należytą selekcję materiału ludzkiego, przeznaczonego na przyszłych kolonistów, utrwali i umocni niemiecki charakter pogranicza.

Powyższe wywody „Berliner Tageblatt'u" zasługują na baczną uwagę opinii polskiej z różnych względów. Do najważniejszych z nich należeć będzie niewątpliwie troska o przyszłość elementu polskiego na wschodzie Rzeszy, z którego najżywotniejszymi interesami stoi w sprzeczności każda akcja władz niemieckich, przeprowadzana na tym obszarze kraju. Nadawanie wyżej poruszonej akcji osadniczej nad granicą polską oblicza narodowo - państwowego wskazuje na to, że jest ona najzupełniej wyraźnie skierowana przeciwko polskości na wschodzie Rzeszy i że zostanie przeprowadzona kosztem zasiedziałego tam od wieków elementu polskiego.

PRZEGLĄD PRASY

Gorszące widowisko

Dzień 15 sierpnia, ustanowiony jako „Święto Żołnierza Polskiego", ku wieczystej pamięci zwycięskiej bitwy roku 1920, która zadecydowała o wyniku wojny polsko - sowieckiej, stał się — jak na to wskazuje *Gazeta Polska* (nr. 227) — z biegiem lat świętem agitacji partyjnej, a nie tym, czym winien był być w życiu całego narodu, t. zn. świętem zasług wojskowych żołnierza polskiego.

„Od kilku lat mianowicie utarła się taka praktyka, że Święto Żołnierza stało się okazją do manifestacji zasadniczo sprzecznych z duchem tej rocznicy. Niektóre stronnictwa, a w szczególności Stron. Narodowe i Ludowe, obrały sobie dzień ten jako termin swoich manifestacji partyjnych, w których uczczenie zwycięstwa wojennego i cześć dla Armii zamienia się w okazję do samochwalstwa, do rozrachunków z przeciwnikami politycznymi oraz do przeglądu szeregów całkiem innych niż żołnierskie. Równocześnie spróbowano ustalić niefortunną praktykę nadawania „Świętu Żołnierza" nawet nazw odmiennych.

Jak dalece zabrnęliśmy w tym kierunku — zupełnie niezgodnym z powziętymi kiedyś zgodnie i uroczyście postanowieniami — tego dowodem są choćby głosy prasy, które odezwały się ostatnio w ciągu minionych kilku dni. Wiele dzienników pisało o manifestacjach stronnictw w dniu Święta Żołnierza w taki sposób, jakby to była rzecz zupełnie naturalna, że odbywa się wtedy wielka rewia sił partyjnych, a w szczególności opozycyjnych.

Z głosów tych wynika oczywiście, że inicjatorzy obchodów z dnia 15-go sierpnia, o ile tymi inicjatorami są zarządy stronnictw nie mają na celu w pierwszym rzędzie uczczenia rocznicy zwycięstwa ani polskiego żołnierza, lecz chodzi im o to, by wyzyskać tę dobrą okazję do podniesienia temperatury partyjnej w szeregach swoich zwolenników. W ten sposób pojęty obchód staje się karykaturą, dającą rezultaty wręcz przeciwne od zamierzonych, i zamiast dnia zgody i zjednoczenia mamy w rezultacie święto walk i nienawiści partyjnych, przykrytych obłudnie rzekomym kultem żołnierza".

Pismo konkluduje, że tego rodzaju stan rzeczy jest niemożliwy do utrzymania na przyszłość i że winien być bez reszty zlikwidowany.

Nawiązując do tej samej sprawy, *Express Poranny* (nr. 230) wypowiada się równie energicznie i zdecydowanie przeciwko nadużywaniu rocznicy 15 sierpnia dla celów partyjnych, pisząc m. in. co następuje:

„Nie wolno w dniu tym zasłaniać sztandaru Ojczyzny jakimiś partyjnymi znakami.

Nie wolno pogłębiać i utrwalać czynników wewnętrznej zwady społecznej w tym dniu, który jest najwymowniejszym dowodem, że tylko w jedności i ofiarnym zapale wszystkich warstw społecznych mogą być dokonywane wielkie czyny.

Nie wolno Żołnierza Polskiego i jego czynu orężnego dyskontować na rzecz partyj i stronnictw politycznych.

Rocznica 15-go sierpnia musi na zawsze zachować charakter święta Żołnierza Polskiego, które skupia cały Naród, wszystkie Jego warstwy i klasy społeczne w zgodnym uczuciu czci i miłości dla Armii i Jej Wodza.

Polska Zachodnia (nr. 228) wreszcie określa wystąpienia partyjne, parcelujące „Święto Żołnierza Polskiego" na szereg imprez partyjnych, jako wystąpienia gorszące i wyciąga z nich następujące wnioski:

„Koszmarne to widowisko. I świadczące, jak bardzo szkodliwe jest to podtrzymywanie separatyzmu partyjnego, stanowego i politycznego przez ludzi, niezdolnych do wzniesienia się „ponad płoty i mury" nawet w dniu święta ogólno-narodowego, a odgradzających się od idei wspólnoty państwowej i narodowej „drutami kolczastymi" w obronie osobistych lub partyjnych ambicji i interesów".

Polska w Gdańsku

Gniewy i dąsy różnych czynników gdańskich (m. in. organu partyjnego „Der Danziger Vorposten" na realizowanie na terenie Gdańska przez Polskę przysługujących jej w Wolnym Mieście uprawnień, w związku z przyjazdem do Gdańska lorda admiralicji angielskiej Duff Coopera) dają *Kurierowi Warszawskiemu* (nr. 228) asumpt do przeanalizowania roli państwowej Polski w Gdańsku:

„Mniej już obojętna jest próba, jedna z wielu, przemycania, również przy tej sposobności, poglądu, jakoby Polska nie była w Gdańsku czynnikiem państwowym.

A czymże jest tam Polska, skoro — (zgodnie z art. 104-tym traktatu wersalskiego, a wcale nie entgegen der rechtlichen Voraussetzungen, czyli nie wbrew stanowi prawnemu, jak usiłuje wmawiać pismo Forstera i Greisera)— prowadzi sprawy zagraniczne w. miasta, ma tam wyłączność urzędu kolejowego, żeglugi i ceł, gdyż w tym zakresie obszar gdański jest częścią obszaru państwowego polskiego, a w zarządzie portu uczestniczy zupełnie na równi z władzami miejscowymi?

Tak jest, szanowni panowie nacjonal-socjaliści gdańscy i napływowi, Polska jest czynnikiem państwowym w Gdańsku.

A nawet, skoro już o tym mowa, rzec można snadnie, iż Polska jest jedynym czynnikiem państwowym w Gdańsku. Bo Gdańsk należy w znacznym zakresie do obszaru państwowego i do zarządu państwowego Rzplitej i tylko Rzplitej. Sam zaś Gdańsk nie jest państwem, lecz tylko wolnym miastem, częściowo samorządnym pod opieką Ligi Narodów, a częściowo przyłączonym do zarządu państwowego polskiego. Więc też, gdy senat gdański w r. 1925 usiłował w Genewie uzyskać stwierdzenie, że jest państwem, roszczenie to, jako pozbawione wszelkiej podstawy prawnej w traktacie wersalskim, zostało przez Radę Ligi Narodów uchylone. A wobec tego zarząd miejscowy w. m. Gdańska, częściowo włączonego do obszaru Polski i podległego opiece Ligi Narodów, nie jest i nie może być czynnikiem państwowym, gdyż wolne miasto nie jest państwem, a Polska w Gdańsku, z mocy swych uprawnień tamtejszych, jest tam czynnikiem państwowym i niczym innym być, jako państwo, nie może.

Dobrze będzie, jeśli w Gdańsku — skoro tam wywołują takie pouczenia próbami pouczania nas o stanie prawnym -- przypomną sobie, jak on się przedstawia."

„Wojskowe" tradycje S. N.

Wojowniczość Stronnictwa Narodowego, okazywana w obchodach rocznicy zwycięstwa sierpniowego 1920 r., stanowi zdaniem *Dziennika Polskiego* (nr. 230) — charakterystyczne zjawisko psychiczne wzgl. schorzenie psychiczne, nurtujące pewne odłamy inteligencji polskiej, i z tego względu zasługuje na omówienie i głębszą analizę:

„Rysem charakterystycznym całej narodowej demokracji, zarówno tej przedwojennej, jak i tej, której Pan Bóg pozwolił doczekać niepodległości, jest fałszywe pojęcie siły. Dla obozu, który na swoim sztandarze wywieszał hasła narodowe i wszechpolskie, dla obozu takiego, który by te swoje hasła potrafił traktować naprawdę z punktu widzenia najżywotniejszych interesów racji narodowej, problem siły musiałby stanowić rzecz najistotniejszą. Obóz taki, w żadnej sytuacji nie ograniczałby się jedynie do operowania jednym elementem siły, jakim jest tradycja, ale dążyłby do wskrzeszenia najbardziej współcześnie twórczej siły, jaką dla każdego narodu jest państwo, oparte na sile narodowej armii.

Otóż endecja przedwojenna nigdy do posiadania siły zbrojnej i jej ewentualnego udziału w wskrzeszonym państwie nie przykładała wagi. Przeciwnie, raczej wszystkim tym, którzy w okresie niewoli o wojsku polskim i polskim zbrojnym czynie myśleli, miała to za złe i co więcej, w decydujących momentach zabiegi o stworzenie takiej siły wojskowej paraliżowała.

Operowanie jedynie tradycją, dyplomacją i przywiązanie do systemu politycznego, kładącego nacisk na demagogicznie pojętą „wolę narodu", przy równoczesnym usuwaniu na plan dalszy interesu ogólnego, jakim jest niewątpliwie siła państwa i jego wojsko — wytworzyło w endecji patologiczny stosunek do obu tych rzeczywistości".

Pismo przedstawia nasamprzód źródła stosunku starych endeków do zagadnienia polskich sił zbrojnych:

„Starzy endecy stosunek swój do armii postawili na płaszczyźnie przydatności tej instytucji do realizacji planów polityki partyjnej. Oceniano wartości generałów i niższych oficerów, zależnie od tego, w jakim stopniu ulegali oni wpływom i sugestiom wodzów stronnictwa. W tym nastawieniu szukać należy np. konfliktu między narodową demokracją a gen. Józefem Hallerem. Wysyłając hallerczyków z Francji do Polski, Dmowski i jego koledzy sądzili, że Haller wkroczy do Warszawy, „usunie" Piłsudskiego i oda władzę w ręce endeków. Gdy to się nie stało, Haller stracił wszystkie łaski narodowców.

Symbolem takiego stosunku do armii jest przede wszystkim Dmowski. Dał temu wyraz najbardziej drastyczny w pamiętnych dniach roku 1920, ustępu-

jac w przeddzień wielkiej bitwy z Rady Obrony Państwa. Uczynił to w obliczu. jak jemu i jego towarzyszom się zdawało, nieuchronnej klęski żołnierza polskiego i opuścił stolicę, przenosząc się do Poznania. Przed tym jednak, gdy Piłsudski złożył do dyspozycji Rady Naczelnej dowództwo, zaproponował pozostawienie Go nadal na tym stanowisku, wychodząc widocznie z założenia, że wraz z armią ginącą na przedpolach stolicy zginie i jego znienawidzony wróg.

Stało się inaczej. Rachuby Dmowskiego i tym razem zawiodły, dzień 15 sierpnia stał się triumfem żołnierza polskiego i jego Wodza, Marszałka Piłsudskiego, stał się dniem zwycięstwa wiary w żywotność i siłę żołnierza polskiego nad ciasnym i mściwym partyjnictwem."

„Linia Siegfrieda"

Zastanawiając się nad sensem budowy przez Niemcy umocnień nadgranicznych na zachodzie Rzeszy, *Kurjer Wileński* (nr. 226) dochodzi do przekonania, że Niemcom nie chodzi w wypadku powyższym o wywołanie wrażenia po stronie francuskiej, lecz że umocnienia te, zwane „linią Siegfrieda", mają znaczenie poważniejsze:

„Francja jest dla Niemców groźnym przeciwnikiem. Szczególnie po związaniu się z Anglią przymierzem prawie „na śmierć i życie" zachodni sąsiad jest potęgą, która spędza sen z powiek niemieckim dowódcom. Potęga to nie tylko materialna, lecz także i moralna, jakkolwiek utarło się na ogół mniemanie o całkowitym moralnym upadku Francuzów. Wbrew temu, co filoniemieckie pisma starają się potwierdzić, przewaga duchowa dzisiaj jest raczej po stronie Francji i w razie wojny społeczeństwo niemieckie prawdopodobnie prędzejby się załamało. Nie jest to bynajmniej oznaką doskonałości ducha francuskiego, lecz wynikiem obiektywnych warunków. Obywatel francuski jest syty i zadowolony z życia, a przy tym bardzo dobrze pamięta ile kosztowała krwi i pieniędzy ostatnia wojna. Po raz drugi przeżywać tego samego nie chce. Jest więc zazdrosny o swój pokój i drapieżny w stosunku do wszystkiego, co mu ten pokój chce zakłócić. Wojna więc byłaby przykrą koniecznością, lecz byłaby prowadzona w obronie stanu posiadania i z obawy o utratę posiadanego dobrobytu".

Inaczej za to przedstawia się sprawa po stronie niemieckiej:

„W przeciwieństwie do tego obywatel niemiecki, który bodaj od zakończenia światowej wojny ani razu nie był syty, a dziś w szczególności jest ofiarą narodowej alchemii przemiany chleba codziennego w armaty i bagnety, jest zarówno fizycznie, jak psychicznie wyczerpany. Dla niego wojna—to przede wszystkim dalsze pogorszenie warunków życia, a dopiero w dalszej nieokreślonej przyszłości miraż sutego napiwku za wątpliwe zwycięstwo.Wielka wojna jednak dowiodła, że tak zwycięzca jak i zwyciężony po wojnie wychodzą nędzarzami. Więc i ten napiwek nawet w razie zwycięstwa nie jest taki suty.

W warunkach więc zmniejszonej odporności moralnej narodu szczególnie niebezpieczną grą może się stać walka na własnym terytorium, jak to było w czasie ubiegłej wojny z Francją. Niemcy za wszelką cenę pragną uniknąć tej ewentualności. Hitleryzm przyzwyczaił już Niemców do mierzenia sukcesów państwowych ilością kilometrów kwadratowych — powiększeniem „Raum und Boden". Utrata więc tych kilometrów chociażby w imię najsłuszniejszych racyj strategicznych, w pojęciu społeczeństwa niemieckiego zawsze będzie klęską.

Przerzucenie walki na teren francuski wobec umocnień po tamtej stronie staje się wątpliwe. Krwawienie armii na żelazo - betonowej zaporze — najmniej celowe. Przyjęcie walki na swoim terytorium — politycznie i moralnie ogromnie niebezpieczne. Przebicie się przez Belgię lub nawet Szwajcarię jest wątpliwe, bowiem państwa te nie żywią już złudzeń, które miały przed r. 1914, więc są odpowiednio przygotowane. W takich warunkach szukanie rozstrzygnięcia gdziekolwiek, byle nie nad Renem, staje się zupełnie realną dyrektywą operacyjną."

Pismo zastanawia się dalej nad pytaniem: gdzie może być w takim razie przeniesiony ciężar wojny francusko - niemieckiej? Pod uwagę mogą tu być brane — zdaniem „K. W." — trzy możliwości: Morze Północne, względnie Bałtyckie, powietrze i Morze Śródziemne:

„Najmniej prawdopodobny teren, chociaż nie wykluczony, to morze. Basen Morza Bałtyckiego nie pozwala na korzystne rozwinięcie sił morskich, zaś Anglia nigdy nie pozwoli, aby jakakolwiek flota pod jakimkolwiek względem uzyskała przewagę nad flagą brytyjską.

Walka decydująca może się też rozegrać w powietrzu. W obecnej chwili jest to zupełnie prawdopodobne. Zachwianie się potęgi lotnictwa francuskiego w ostatnich latach, zaś niesłychany wzrost potęgi powietrznej Niemiec, rozkład centrów przemysłowych i ważnych ośrodków, potęga lotnicza sąsiadów — wszystko to składa się na to, że Niemcy w powietrzu niewątpliwie będą szukały jeżeli nawet nie rozstrzygnięć decydujących, to w każdym razie działań pomocniczych o zasadniczym charakterze.

Trzecią ewentualnością przeniesienia ciężaru walki — to Morze Śródziemne. Kto wie, może to właśnie tak usilne montowanie osi Rzym — Berlin, mimo stale piętrzących się trudności, ma m. in. na celu wyzyskanie w przyszłości okrężnego uderzenia na Francję od południa. Dzisiejsza strategia coraz częściej bierze pod uwagę takie właśnie manewry: przez cudze ziemie i przez obce granice.

A na Renie tymczasem byłby zakuty w stalo-beton najeżony armatami spokój."

W chwili, kiedy potencjał militarny Rzeszy wyładowuje się w gigantycznych manewrach wojskowych, uwagi powyższe nie są pozbawione aktualnego sensu.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Mehmed Emin Resul-Zade. AZERBEJDŻAN W WALCE O NIEPODLEGŁOŚĆ. Azerbejdżańskie Wydawnictwo Narodowe. Warszawa, 1938.

Ignacy Fik. O ŻYWĄ TREŚĆ DEMOKRACJI. Wydawnictwo Klubu Demokratycznego w Katowicach. Katowice, 1938.

Kazimierz Nowakowski. ZAOPATRZENIE W WODĘ GÓRNOŚLĄSKIEGO OKRĘGU PRZEMYSŁOWEGO. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice, 1938.

Zdzisław Wyżnikiewicz. USTAWODAWSTWO ŚLĄSKIE O UBEZPIECZENIU SPOŁECZNYM. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice, 1938.

Kazimierz Piwarski. POMYSŁY ODZYSKANIA ŚLĄSKA ZA JANA III SOBIESKIEGO. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice, 1938.

Józef Skoczek. UDZIAŁ ŚLĄSKA W ROZWOJU I KULTURZE POŁUDNIOWO-WSCHODNICH ZIEM POLSKI. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Katowice, 1938.

Zofia Kossak-Szczucka: LASKA JAKÓBOWA. Str. 226. Warszawa, 1938. Tow. Wydaw. „Rój".

C. Malaparte. LEGENDA LENINA. Str. 286. Warszawa, 1938. Tow. Wyd. „Rój".

Henryk Mann. KRÓL HENRYK IV. — NA WYŻYNACH SŁAWY. Str. 394. 1938. Tow. Wyd. „Rój".

Konrad Górski. LITERATURA A PRĄDY UMYSŁOWE. Str. 316. 1938. Tow. Wyd. „Rój".

Wacław Makowski. MY I WY. Str. 286. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Tadeusz Lechnicki. PROBLEM CENTRALNY. Str. 100. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Georges Duhamel. OGRÓD DZIKICH ZWIERZĄT. Str. 282. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Georges Duhamel. WIDOK ZIEMI OBIECANEJ. Str. 264. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Jules Romains. MIŁOŚĆ CHŁOPIĘCA. Str. 324. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Ułas Samczuk. WOŁYŃ. Str. 332. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Adolf Rudnicki. LATO. Str. 232. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Jerzy Ostrowski. WIDŁY WISŁY I SANU. Str. 234. 1938 r. Tow. Wyd. „Rój".

Jan Krystyjańczuk. PRZEKLĘCI DZIEDZICE. Str. 24. Chełm. 1938. Nakładem Drukarni „Zwierciadło".

NUMER POPRZEDNI 31—32 ZAWIERA:

TRUMNA KRÓLEWSKA

Władysław Mazurkiewicz
ANGLICY I POLITYKA ANGIELSKA

Władysław Oszelda
PROPAGANDA I SZCZEROŚĆ

Olgierd Nowina
KMIECE ZAGRODY DZIEDZICZNE W NIEMCZECH

Władysław Ligota
ROZWÓJ STOSUNKÓW NARODOWOŚCIOWYCH KRAJU MORAWSKO-ŚLĄSKIEGO

T. Nowacki
„GÓRKA"

DZIAŁY:

Na marginesie
Notatnik gospodarczy
Przegląd prasy
Notatnik zagraniczny
O nas u obcych
Wśród książek

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Żórawia 7 m. 30, tel. 809-20. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.